

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 6 KWIETNIA 1929 ROKU

NR. 14

TREŚĆ NUMERU: Kult bohaterstwa — *Natalja Jastrzębska*. Policja kobieca — *Z. Zal.* Poezje: „Lalka“ „Miłość w nocy“, „Drzewo kwitnące“ — *Marja Pawlikowska*. „Sol invictus comes“ (c. d.) — *Zofja Reutt-Witkowska*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Wawel dawniej i dziś — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. K., N. J. i H. S.* Małżeństwo — *Wanda Dobrzańska*. Historia talerza — *H. Michalecka*. Jeszcze o nauce gospodarstwa domowego dla kobiet z inteligencji — *Pani Elżbieta*. Parę uwag o wiosennem sadzeniu róż — *A. D.* Cholera drobiu — *Zofja Prażmowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Modne komplety — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*.  
Arkusz wzorów.

## KULT BOHATERSTWA

Jednym z najpiękniejszych kultów, jakie zna ludzkość, jest kult bohaterstwa.

Narodził się on najdawniej, bezpośrednio po czci, oddawanej bóstwu, kształcił narody, które założyły podwaliny dzisiejszej cywilizacji, pobudzał i rozwijał w duszach ludzkich najszlachetniejsze ich pierwiastki. Stanowi on do dziś dnia regulator stosunków międzynarodowych, wspólną platformę, na której spotykają się nawet wrogowie, a łączą i umacniają wzajemnie społeczeństwa, między którymi istnieją węzły sympatii i tradycji.

Jeżeli zastanowimy się głębiej nad stosunkiem Polski z Francją, ujrzymy, że te dwa państwa zbliżyły się oddawna, że wielokrotnie prowadziły wspólną politykę, że wchodzili w związki rodzinne ich monarchowie, że pokrewną była cała kultura, a jednak najwyższy moment tego zbliżenia, najgłębszy entuzjazm, najintensywniejszy, magnetyczny prąd wspólności wytworzył dopiero kult bohatera — Napoleona.

Jego moc budziła ze snu niewoli, jego genjusz dawał wiarę w zwycięstwo, łącząc francuzów i polaków w fanatycznej miłości wspólnego bohatera; jemu najbitniejszy naród na świecie złożył nienotowany przedtem w historii hołd, mówiąc *obcemu* wodzowi: „dał nam przykład, jak zwyciężać mamy“!

Kult Napoleona stanowi epokę między Francją a Polską — bez niego byłyby tylko stosunki polityczne dwóch państw — uwielbienie Napoleona stworzyło przyjaźń dwóch narodów.

I tak dziwnie się piszą wyroczone księgi dziejów, że właśnie w chwilach przełomowych Francji i Polski zjawiają się wielcy, którzy kształtują losy obu krajów,

na tle walk wszystkich prawie państw cywilizowanego świata.

Tak walczył Napoleon i ta sama rola przypadła Ferdynandowi Fochowi.

W okresie bojów wspólnych, cesarz francuzów dał buławę marszałkowską wodzowi polskiemu, a odrodzone państwo polskie ofiarowało tę samą godność zwycięzcy w wielkiej wojnie, człowiekowi, który mocą ducha i genjusz wojennego rozstrzygnął los Francji i Polski. To też postać zmarłego bohatera francuskiego budzi w nas nie tylko platoniczne uwielbienie, należne każdemu wielkiemu duchowi ludzkiemu, ale jest nam bliską i drogą. Wyrazem tego nastroju stała się prasa polska, wszystkie instytucje, stowarzyszenia, ogólny głos całego społeczeństwa.

Rozwija się i rośnie z biegiem lat coraz wspanialej wielka wspólność ludzkości w oddawaniu hołdu tym, którzy prowadzą ją po drodze rozwoju, ku najwyższemu celom prawdy i dobra. Czy widzieliśmy kiedykolwiek taką olbrzymią, zbiorową demonstrację wszystkich krajów, których najwyżsi przedstawiciele zebraли się dla odania czci zmarłemu, jak na pogrzebie Focha?

Takie fakty stanowią istotny, realny zupełnie dowód tego, czym jest wysoka wartość ducha, moc wielkiego charakteru i twórczości, nie tylko dla własnego kraju, ale dla wszystkich narodów.

I takie fakty powinny być utrwalane w pamięci, aby stanowiły niezapomnianą lekcję historyczną, żywy przykład na długie wieki.

Przykład ten ważny jest zwłaszcza dla nas, polaków. Bo my właśnie, przy całej naszej impulsyw-



ności, przy szczerzej dobroci serc i zapalnym entuzjazmie,—zamało mamy sprawiedliwości i wysokiej, czyściej miary w ocenianiu prawdziwej wartości wielkich ludzi, zwłaszcza naszych własnych, zwłaszcza na tle epoki, w której żyjemy.

Ileż razy gorzko doświadczała tego nasi monarchowie, najwięksi wodzowie, najgenialniejsi twórcy!

Sobieski, Książę Józef, Żółkiewski, Kościuszko, Mickiewicz, Słowacki — wszyscy przeszli za życia przez ogień złośliwej tyraljery nieuzasadnionych krytyk, przez lekceważącą opinię pomniejszych ołbrzymów, więcej, — ciężko to powiedzieć, ale to jest również historia — przez najpotworniejsze oszczerstwa, rzucane pod płaszczykiem moralizatorstwa i pro publico bono.

Dlaczego?

Z jednej strony może dlatego, że jesteśmy bardzo wymagający w ocenie wartości, zwłaszcza swoich.

Dawaliśmy niejednokrotnie przykłady nadludzkiej odwagi, wielkiego, zarówno zbiorowego, jak jednostkowego bohaterstwa, stawiamy więc wysoką miarę i potrafimy wymagać.

Ale — nietylko dlatego.

Przyczyną tego, tak częstego u nas, niedoceniań wielkości, jest głównie rozwielenie w nas od wieków, od czasów anarchji szlacheckiej, indywidualizm, brak wewnętrznej karności, szacunku dla istoty przekonań i czynów drugiego człowieka.

Jak szlachcicowi na zagrodzie nie podobał się król lub hetman i wtedy gardłował przeciwko niemu, tak samo politykowi, dziennikarzowi, każdemu najzwyczajszemu filistrowi, a nawet nieukowi—nie podoba się uczonego, poeta, minister, wódz—więc: „hajże na Soplęc”.

Gdzieżby tam kto wtedy myślał o sprawiedliwej ocenie charakteru i czynów największego nawet człowieka, o stwierdzeniu istotnego, namacalnego rezultatu jego pracy—nie podoba mi się i koniec, a że można przy tem zawsze patetycznym ruchem zarzucić na ramię togę ojca ojczyzny — to jeszcze lepiej.

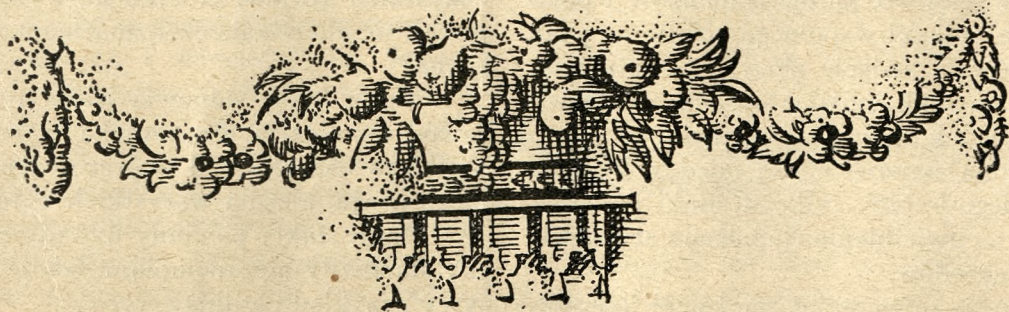
Inne narody są pod tym względem dużo skrom-

niejsze. Nie rości tam sobie każdy obywatel pretensji do sądzenia ludzi, przechodzących zupełnie jego miarę; laicy nie decydują o zdolnościach wodzów, a „korzennicy“ o genjuszu poetów, o talentach dyplomatów, ale cała masa społeczna czuje mocno i solidarnie, jakim dorobkiem, jakim wielkim skarbem wspólnym jest każdy człowiek talentu, każdy wielki polityk i wódz, każdy wysoki duch, prowadzący naród na drogę rozwoju.

Nikt go tam nie krytykuje, nie poprawia, nie oczernia, nikt mu kamieni pod nogi nie rzuca, lecz wszyscy łączą się w uznaniu, wytwarzając silną i trwałą atmosferę psychiczną szacunku, miłości, oparcia moralnego, a siła — dziś już doskonale oceniona, takiej psychicznej atmosfery zbiorowiska podtrzymuje i rozwija moc ducha największego nawet człowieka, wzmacnia potęgę jego czynów, jego stanowiska wśród swoich i promieniuje nazewnątrz, budząc ten sam szacunek, podziw i miłość u obcych. Ta moc oparcia się na narodzie własnym daje każdemu wielkiemu człowiekowi pewność działania taką, jaką karność i wierność armji stanowi w czasie wojny dla wodza. To jest druga, po wielkości ducha, tajemnica powodzenia twórców moralnej i materjalnej potęgi państw, zwłaszcza w czasach obecnych. Bez niej najwięksi mogą tylko poświęcać się, walczyć i ginąć, ale nie zdołają zwyciężyć. I dlatego kult bohaterstwa jest nietylko wartością duchową każdej jednostki i społeczeństwa, ale realną polityką każdego kraju.

Gdyby Francja odnosiła się w czasie wojny do Focha tak, jak, niestety, Polska odnosiła się wielokrotnie do swych bohaterów, w czasie najcięższych zmagañ z wrogiem, nie zawarłaby może Europa traktatu wersalskiego. To jest pewnik, który powinniśmy zrozumieć i zapamiętać.

Każdy wielki człowiek, to społeczne bogactwo, ale dopiero uznanie i współdziałanie z nim tworzą społeczną potęgę. Bohater jest tylko zjawiskiem, podlegającym prawom tragedji dziejowych, ale zbiorowy w całym narodzie kult bohaterstwa jest, jak kult patriotyzmu — twierdzą obroną ojczyzny. N





# POLICJA KOBIECA

Na zjeździe misyj dworcowych i oddziałów Komitetu walki z handlem żywym towarem, który odbył się w dniu 3 lutego w gmachu Państwowej Szkoły Higieny w Warszawie, na pierwszy plan obrad wysunęła się sprawa zwiększenia kadrów policji kobiecej w Polsce. Wyczerpujący referat na ten temat wygłosiła p. M. Holder-Eggerowa, wywołując nim ożywioną dyskusję. Bardzo ciekawe oświetlenie daje zarys historii powstania policji kobiecej w innych państwach.

Początek dały Stany Zjednoczone. Zorganizowanie policji kobiecej, mającej za zadanie opiekę nad kobietami i młodzieżą w wielkich miastach, datuje się już od lat prawie 30.

Pierwsze policjantki pojawiły się w r. 1880 w Stanach Zjednoczonych na skutek interwencji organizacyj kobiecych, mianowicie Rady Narodowej Amerykanek, domagających się, by sprawy, wiążące się z moralnością publiczną, a dotyczące bezpośrednio kobiet, oddawane były w ręce kobiet.

W r. 1910 nastąpiło — dzięki pozyskanej przez *policewomen* popularności i uznaniu — oficjalne ustanowienie kadrów ich i zwiększenie etatów. W r. 1917 rozszerzono znów ich zastępy tak, że obecnie już 145 miast w Stanach Zjednoczonych ma policję kobiecą, w tem w 32 miastach z inicjatywy i na skutek starań organizacyj kobiecych, w 13 miastach powołali ją — widząc dobre wyniki gdzieindziej — szefowie policji; w pozostałych wnioski odnośne złożyły miarodajne czynniki rządowe: dep. zdrowia, dep. opieki społecznej i in. Wobec takiego rozrostu powstał wnet Związek policji kobiecej, który następnie zainicjował ogólny Międzynarodowy Związek policjantek (International Association of policewomen). Pierwszą przewodniczącą została p. Mina van Winkle.

Na międzynarodowym zjeździe policji w Amsterdamie zapadły uchwały popierania policji kobiecej w uznaniu jej pracy i niezrównanych zasług w ochronie małoletnich i młodzieży.

W r. 1923 odbył się międzynarodowy zjazd policji w San Francisco, gdzie przyjęto następujące uchwały w sprawie policji kobiecej:

1) Obowiązki ogólne policjantek obejmować mają: pracę zapobiegawczą w wypadkach przestępczości i zbrodni; wyszukiwanie okoliczności, sprzyjających zbrodni; stosowanie istniejących przepisów w celu usuwania i naprawy ostatecznej warunków sprzyjających. Policjantki powinny mieć stały nadzór nad zbiorowiskami kobiecymi i opiekunkami tychże.

2) Obowiązki specjalne obejmują czuwanie nad przypadkami, wymagającymi interwencji policji, w razie obrazy kobiet lub dzieci, strony obrażającej lub ofiary. Winny prowadzić ewidencję zbrodni, popełnianych w stosunku do kobiet i dziewcząt oraz chłopców poniżej lat 12. Obowiązkiem ich jest dać lub zapewnić opiekę społeczną ofiarom oraz rehabilitowanym jednostkom.

3) Wymagania fizyczne. Kandydatki winny zdać egzamin zdolności fizycznych i zdrowia, wymaganych dla spełniania

obowiązków, przed lekarzem specjalnej komisji kwalifikacyjnej. Zdolności te winny jej dać możność spełniania pracy regularnie bez nadmiernego wyczerpania organizmu. Wiek wymagany: skończonych lat 25, nieprzekroczonych lat 35 w chwili egzaminu.

4) Wyszkołenie ogólne. Kandydatki winny mieć skończony kurs szkoły wyższej z pierwszeństwem dla tych, które mają dodatkową naukę teoretyczną pielęgniarstwa, szkołę normalną skończoną, kurs prawa i t. p. albo 2 lata specjalnych studjów lub pracy społecznej w służbie publicznej.

5) Doświadczenie zawodowe. Policja kobieca winna mieć najmniej 2 lata praktyki w pracy społecznej w organizacji społecznej z pierwszeństwem dla tych, które zajmowały stanowiska kierownicze lub wykonawcze odpowiedzialne w służbie publicznej.

6) Wyszkołenie techniczne. Przyjęte kandydatki winny przejść wyszkolenie przy dep. policji, gdzie istnieje brygada policji kobiecej.

7) Selekcja. Kandydatki winny być wybierane z pośród szeregów służby cywilnej tam, gdzie ona istnieje. Poddane być winny egzaminowi ustnemu w celu określenia zdolności wypowiedzenia się. W braku Komisji służby cywilnej, należy do Komisji kwalifikacyjnej powoływać osoby, cieszące się uznaniem społeczeństwa, które winny też należeć do grona egzaminatorów w celu sprawdzenia zdolności kandydatek do pracy zapobiegawczej wśród młodzieży. Przed zaangażowaniem na stałe policjantki winny przebyć okres pracy próbnej.

8) Zwierzchnictwo. Policjantki przydzielone do departamentu pozostają pod kierunkiem szefa policji, w razie dostatecznej ilości policjantek jedna z nich, posiadająca wyższe wykształcenie, otrzymuje rangę oficera w departamencie.

9) Płaca policjantek równa się płacy policji męskiej po 5-letniej służbie. Kandydatki, posiadające wykształcenie wyższe, otrzymują wynagrodzenie równe płacom nauczycieli szkół wyższych lub pracowników społecznych.

W Anglii powstała policja kobieca dopiero w r. 1914, z chwilą wybuchu wojny, gdy z inicjatywy Rady Narodowej Kobiet zorganizowano patrole kobiece, czuwające nad bezpieczeństwem kobiet i dzieci wobec spodziewanych ataków Zeppelinów. Wnet potem, gdy zaczęły napływać uciekinierzy z Belgji, zorganizowano całą brygadę automobilową kobiecą, która czuwała nad bezpieczeństwem kobiet i dzieci w obozach koncentracyjnych. Akcja ta — rzecz prosta — poparta przez władze z całym uznaniem, była początkiem organizacji policjantek angielskich. Poruczono im czuwanie nad stacjami kolejowymi i portami oraz fabrykami amunicji.

W r. 1918 w Londynie było już 100 policjantek z 10 sierżantkami, komendantką i asystentką. Z chwilą zawarcia zawieszenia broni do obowiązków ich weszła opieka nad robotnicami fabrycznymi. Ilość policjantek wzrosła do 1044.

W r. 1920 rozpisana ankietą w sprawie służby kobiet w policji angielskiej dała wynik pomyślny. Mimo to w r. 1922 nastąpiła redukcja pewnej liczby na skutek zmian personalnych we władzach głównych policji państwowej.



W r. 1923 dano im prawo aresztowania. Obecnie angielski służą zarówno w umundurowanej, jak w tajnej policji.

*W Szkocji i Irlandji* wprowadzono policję kobiecą w r. 1920 na wniosek władz policyjnych.

*W Niemczech* przyjęto pierwszą kobietę do policji w r. 1903 w Sztutgardzie. W r. 1914 były policjantki już w 55 miastach. Początkowo zadaniem ich była walka z handlem żywym towarem, obecnie do kompetencji ich należy też akcja zapobiegawcza. Specjalna kadra policjantek była zorganizowana podczas okupacji Kolonii przez 5 policjantek angielskich dla ochrony kobiet i dziewcząt. Akcję tę kontynuowała następnie p. J. Erkens — prezeska Zw. policji kobiecej w Niemczech. W 1925 r., podczas Międzynarodowej Wystawy Policyjnej w Karlsruhe, propaganda komendantki Allen dała nowy impuls do pracy. W 1926 r. powstaje pierwsza brygada we Frankfurcie nad Menem. Następnie tworzy się policja kobieca w Saksonji, Hamburgu, Badenji. Brak jednak tym poczynaniom na terenie Niemiec koordynacji. Głównym zadaniem policjantek stają się sprawy kryminalne. Na skutek rezolucji organizacyj kobiecych, żądających reformy w kierunku podjęcia przez policjantki obowiązków opieki społecznej, zostają połączone oba zakresy działania.

Ostatecznie o akcji policji kobiecej zdecydowała ustawa z 1.X 1927 r. o zwalczaniu chorób wenerycznych. Policjantkom, patrolującym na ulicach, nakazano umundurowanie, którego nie noszą podczas pracy śledczej.

*W Holandji* zadaniem policji kobiecej jest głównie opieka nad dzieckiem i młodzieżą.

*W Danji* są kobiety od r. 1914 w policji obyczajowej i w akcji zapobiegawczej.

*W Norwegji od 1910 r.* policja kobieca ma poruczoną sobie walkę z nierządem i włóczęgostwem, oraz opiekę nad nieletniemi.

*Szwecja* ma w Sztokholmie 6 policjantek, z których 5 ma kwalifikacje pielęgniarek, akcja ich obejmuje opiekę społeczną.

*W Finlandji* policja kobieca czynna jest na wszystkich polach opieki społecznej.

*W Czechosłowacji* od 1905 r. są kobiety w policji na prawach równych z mężczyznami. Obecnie jest ich 133. Policja w Pradze ma specjalną sekcję służby społecznej kobiecej w sprawach o wykroczenia seksualne.

*W Szwajcarji* policja kobieca jest w różnych miastach, spełniając różne zadania.

*W Austrii* 5 miast ma policję kobiecą.

*Kanada* zorganizowała policję kobiecą od r. 1925 w 5 miastach, wkładając na nią przeważnie obowiązek walki z nierządem i akcję zapobiegawczą.

*Polska* otrzymała policję kobiecą dzięki inicjatywie i staraniom Pol. Komitetu walki z handlem żywym towarem. Na I kurs szkolenia policjantek w r. 1925 zapisało się 30 kandydatek. Warunki przy-

jęcia były następujące: 6 klas szkoły średniej (następnie obniżono do 4), polecenie jednej z organizacyj kobiecych, cenzus moralny, wiek lat 25 do 45. Z przeszkolonych policjantek 25 rozpoczęło pracę w Warszawie, 5 — w Łodzi. Stopniowa redukcja doprowadziła liczbę ich do obecnej — 16, w tem 13 posterunkowych, 3 przodowniczk. Komendantką jest znana działaczka p. Stan. Paleolog, kierowniczka VI brygady urzędu śledczego.

Policja kobieca w Polsce jest częścią integralną policji państwowej, ma równe z mężczyznami prawa i płace, odmienne obowiązki. Głównym jej zadaniem jest walka z handlem żywym towarem. Warunki pracy trudne, nie tylko ze względu na zakres zadań, lecz i wskutek licznych szykan i utrudniania obowiązków. Opinia publiczna, niedostatecznie przygotowana, nie rozumiała ich zadań. Trzeba było niespożytej energii, poświęcenia i ideowości komendantki, by pracę w takich warunkach prowadzić, i to prowadzić ją z takimi wynikami, jak dotychczas, wywołującymi pełne uznanie władz.

Różnica między policją kobiecą polską a innych krajów leży w nie prowadzeniu przez nią akcji zapobiegawczej, a wyłącznie skierowaniu do wykrywania tajnych domów schadzek, sutenerstwa, stręczycielstwa, walki z nierządem i kontroli sanitarnej.

Ilość naszej policji kobiecej jest zupełnie niewystarczająca. Brak zaś zakładów, umożliwiających opiekę nad zaniedbanymi moralnie dziewczętami i dziećmi opuszczonymi, ofiarami przestępstw seksualnych, powoduje jednostronną akcję, nie mogącą leczyć zła. Przytem zbyt łagodny wymiar sprawiedliwości, wypuszczanie winnych za kaucją — poczem oni w dalszym ciągu prowadzą swój nieczyny proceder — stanowi również tak ogromne utrudnienie, że o planowej, systematycznej i rzeczywiście ujawniającej się w skutkach nazewnątrz akcji, niema mowy.

Dla usunięcia przyczyn paraliżujących ją należy domagać się zwiększenia etatów policji kobiecej przy stosowaniu bardzo starannej selekcji w doborze kandydatek, następnie zwiększenia ich kompetencji: patrolowania ulic, czuwania nad młodzieżą w kinach, poczekalniach, parkach i t. p., konwojowania dziewcząt i kobiet zatrzymanych, asystowania przy badaniach ich w komisarjatach, urzędach śledczych i sądach, pełnienia dyżurów na dworcach kolejowych i w portach.

Praca policji kobiecej jest odpowiedzialna, wymaga wiele taktu, znajomości stosunków społecznych i psychologii ludzkiej, szybkości orjentacji, odwagi, ideowości i poświęcenia. Niepodobna jednak przy największym poświęceniu pracować w warunkach, uniemożliwiających akcję wydajną.

Zreorganizowanie obecnego stanu jest troską inicjatorów policji kobiecej w Polsce — Komitetu Walki z handlem kobietami i dziećmi, który na zjeździe swym w dn. 3 lutego r. bież. powziął odpowiednie rezolucje.



MARJA PAWLIKOWSKA

## LALKA

Leżę dumna,  
 jak infantka zmarła.  
 Teraz wreszcie po zabawie  
 odpocznę.  
 Czyjaś ręka włos mi z głowy  
 zdarła,  
 na ziemi przy mnie  
 leżą  
 moje galki oczne.  
 Już mnie nie całują,  
 nie trzęsą,  
 nie targają  
 za jedwabne pukle...

patrzę pustką oczodołów,  
 umięczonych rzęsą,  
 jak przystało  
 porzuconej kukle,  
 wprost przed siebie,  
 w godziny  
 bezradnością zalane,  
 i pytam się:  
 co to znaczy?  
 Czyż cierpiałam za wiele,  
 jak na porcelanę,  
 i żyć zaczynam  
 z rozpaczy?

## MIŁOŚĆ W NOCY

Dwór się w milczeniu  
 zanurzył,  
 godziny są coraz pędzące;  
 w drzwiach od balkonu,  
 na piętrze,  
 plonie ostatnie światło  
 kontaktowej  
 róży...  
 Przez szklane,

na noc letnią otwarte podmoje,  
 wiatr wpada  
 do sypialni,  
 gdzie, w gorącym splocie,  
 ciało szczęścia,  
 przez ludzi  
 rozcięte na dwoje,  
 zrasta się, jak jaszczurka,  
 po wielkiej  
 tęsknocie...

## DRZEWO KWITNĄCE

Złamana gałąź ślimy  
 u samego czarnego ramienia  
 jest, jak poemat żywy,  
 o bezowocnych marzeniach.

I jam drzewo, które życie mięzi,  
 i w rękach się waszych szamoce —  
 nie łamcie moich gałęzi:  
 wszystko to są owoce.

Dajcie mi pachnąć bez słowa,  
 — owoc mój słodki jest, wiecie?  
 będziecie kiedyś żałować,  
 żeście zatruli mój kmiecień...





ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

3)

## „SOL INVICTUS COMES“

Z cyklu „Hestia“

....Dusza ulatająca kraj dzieciństwa nawiedza rada. — Lube mi są bukowe te wkrąg zagaje, ociemniające Sybilli mogiłę, na której dziecięciami kwiaty polne kładłem nabożnie. — Ojciec mój, bo, wrychle owdowiawszy, z Pamfilji powrócił był, kędym się rodził. Z rzymskiej prowincji: gdyż stał wtedy jeszcze Rzym wielowładny Cezarów: Rzym-Flora: Rzym Publjusza, Nieśmiertelna...

Pomyśleć!! Imperjum stało wielkie, mocne, z Bogami swemi wraz mocnemi. Gdy dziś — barbarzyńców jeno deptak i targ: tudzież i ukrzyżowanego Boga żydowskiego tryumf. Twój Bóg to, Largu: żony twej, dziełek, sług twoich“.

Dzwonią słowa mierzone w srebrną tarcz Nocy. Zagadek strzeże Noc. . Są, których nie wyda śmiertelnym.

„Nad mogiłą Sybilli, strzegący kóz domowych kwietny pastuszek, o żywocie i śmierci zadumany zadumą bezradną, nielitosną — na teraz się raz obudziłem. Tego, którego wieść wasza gminna do dziś szarpie. O Porfirjusz mówię. — Bo wielowiedzka nie wie tego legenda, podłącza go i między karły świata tego spychająca ze ścież pustynnych, któreni deszedł kresu.

Nie wiecie jako z Taxilów, które są nad ludem, przelotem nawiedził strony, które uświęcił był grzechem swym: a tym jest, że Marcellę ową pojął — sobie na piołun hańby, ludziom na zgorszenie!!! Jakże krucha jest dobroć ludzi: byle czem gorsi! A tem nawet gorsi, czem lepszymi być winni, gdyby zeszli do dna przepaści, którą ledwie przestrzegłszy — pierzchają. — Bo urąga swą głębią dolkom, gdzie w grób owi pokładali młodość swą, nim kwiecień minął. Gorszą się, którzy nie zmartwychwstaną“.

Meteor ptakiem przeleciał przeszłości nad gwiazdą martwą kwiatu, więdnącego pośrodku, niby świadectwem śnieżnem o dniu, który minął.

.... Jeno tej już nie zastał przy życiu, Marcelli. Czyżby zjadła ją niesława męża, której powodem wszak była ona sama — w bezsporności swej grzechu kobiecym. — Nie. — Pamiętam ją wszak pogodną, promienną nieledwie: chadzała po domu lotna, cicha i przezrocza, jak duch; czynna więcej, niżli dwie, trzy kobiety młode, zdrowe, którym z roboty wszelka siła narękę. — Podziwiała ją w głos, a żałowały po cichu. Za dom nie wychodziła. Twarz miała osoby niewidzącej i nie słyszącej nic nad to, co chce, co nakazuje sobie widzieć i słyszeć: wysiloną jakąś, bladą i pałającą naprzemian w uśmiechach swych i promieniach. Pamiętam jej rękę na moich włosach, drżącą lekko,

i słodycz bezimienną, jak dawało mi runo owcze, gdy otulała mię niem do snu.

Ojciec mój z tych był niewielu, co wielbili Porfirjusza, jakoby księgę żywą prawd wzniosłych, acz niedostępnych tym, którym krzyżowego jego Boga nauka — bliska — nad wszystko, ponoć, tem, iż zszadza mocarzy ze stolicy a grubian wywyższa...

Lelek wionął skrzydłem cichem, ciemnem. Śmierci posel. — Usiłuje przeżegnać się Larg dłońią, sztywną chłodem Nocy.

....Ojciec mój wtedy zwolił, bym zaraz, nocy tej samej, do Rzymu szedł towarzyszem i uczniem ostatnim, najmłodszym temu, który odchodził tak, jako i ja odejdę — jutro. Powtarzają się bowiem dole i niedole.

„Zamieszkaliśmy dom niezasobny Hostyljana Herychjasza z Apamei, którego usynowił był Ameljusz, jako i sam mistrz mój i niegdyś Plotyna boskiego uczeń. — Kilka postaci pamiętam. Geminę sędziwą, ośleplą i mądrości jeno ślubione córki Chiony, niewiasty tej osobliwej, która domem swym i mieniem z Geminą wraz szafowała była na dobro szkoły... Rogacjana pamiętam, cień smukły, człowieka, uśmiechniętego zawdy, w niewidzialne zapatrzonoego bogactwa: senator to był ów szalony, co majętności się swych wyrzekł, niewolników wyzwolił, porwany wymową Plotyna... Odtąd urzędem się żadnym nie parał, ale w słońcu siadywał po schodach budynków publicznych, żywiąc się i odziewając tem, co u przyjaciół uzyskał, życzliwych pięknemu dziwactwu. — Ze mną zaś grywał w orzeszki — Rogacjan...“

Kury północ odpiały. — Poruszy się protestem nagłym Larg, ocnięty wtem z uroków srebrnych.

„Tak, tak, Largu! W imię krzyża także są, którzy trosk rzucają powszednich ciasne podziemia... Dozwól więc, że o mistrzu wam swoim skończę“.

Chodem przedświt nasyca się krótka noc lipcowa.

....Pisma uczyłem się greckiego, hebrajskiego wraz, z których czytać miałem po latach, jako najuczeńszy z chrześcijan, Hieronim z Betleemu, zwał dobroczyńcę mego warjatem i psem wściekłym.

Porfirjusz zaś dogorywał tymczasem; starszym daleki, młodym nieznanym.

Była to, pomimo lat moich niewielu, druga już śmierć ludzka, na jaką patrzyłem. — Babka moja, Marcella, umierała w południe jesienne, przytomna bardzo, jasna, w pościeli swej gorejąca oczami — słońcami, a powtarzała głosem, choć rwał się w kilka zdań, przecie jasnym, jak ona, słowa listu owego...



gdzie żegnał ją był Ów, którego zwać zwykła ojcem, małżonkiem, mistrzem, rodziną i ojczyzną.

„Cóż ci, gdzie ciało moje albo raczej cień mój, myśl moja zawsze przy tobie, abym cię krzepił... Ból i lzy przemożny to poryw ku Bogu... im zaś trudniejsza droga, tem zbawienie pewniejsze... Unikaj wszystkiego, co kobiece w twej duszy...”

Tu opadły ręce: wbrew bo nakazom świadomym mdlejącej myśli, witały, zda się Ów cień — Błogosławiony, który modli się z duszy męznej i czystego umysłu... Kończyła szeptem już, zamknęła oczy, by nie otworzyć ich więcej. Nędzą śniadą, zetlatych chorobą długą lic sączyły się bezradne, przebolesne lzy, którym nie było już komu krzyknąć, by zostały w sercu”.

Wschód blednie.

„...Porfirjusz zaś umierał o świcie, wzrok mając odwrócony ku Kwirynałowi, ku świątyni, którą przed czterema bez mała dziesiątkami lat Aureljan zbudował był cesarz: Słońcu, Niezwyciężonemu Władcyce.

Uśmiechał się, promieniać się ku nam, zgromadzonym, twarzą nalaną świtaniem:

„Dzień przyjdzie, kiedy zachce nowy cesarz żywą Świątlu wystawić świątynię... z ducha Romy, odrodzony we krwi Taurobijów, ale i ten nie... przedwcześnie sam w sobie, umarły jeszcze a już chcący wskrzeszać... Niepokonany Ty, Mocarzu Ty... Marcello”.

Z za wzgórza wybuchnie słońce. Ów zasię odszedł już”.

Gwiazdy bledną i wietrzyk obchodzi pilny listowie wszystko lipowe nad zasłuchane posągi dwa i posąg dzwoniący z ust swych gędźbę o rzeczach, które były i będą.

„...Nim wszelako zebrał się odejść, zwierzył mi nakaz takowy: pismo, światu nieznane, a które, jak pojąłem wówczas dopiero, cień Jej błogi między żyjącymi zatrzymywało daleko poza rubież sił cielesnych, pismo to wiadomo uczynić temu, który z pośredka wrogów pamięci Jej oraz Jego pamięci zmarnować się urokom srebrnym nie da... u ogniska swego zostanie, ku Ognisku wschodzącemu nie podaży w Niewiadome, groźne i... lube”.

Oto, mniemam, czas jest wiecże ostateczny: działa twojego, tegom zsiłował, najtęższy to był Porfirjusza wróg; ojca oraz twojego zsiłowałem... i po brata wróciłem się... Nie uczeń ci ja najwierniejszy, rzecz”.

„Kędyż, kędyż to wyprowadzasz ich w dal — w jakżeziemi, nieba czy piekła zakąt, z którego wracasz jeno ty sam, starcze odwieczny!!! — jeży się

w Largu strach siny, trupi, lecz z ust, błękitnawych tchnieniem poranku, nie przyjdzie głos.

Sięgnie Firmin po narcyzową gwiazdę, siną też i chłodną.

„...Czyliż nie ty wróg nasz — miłujący nas w ukryciu długi, długi wiek — depczący nas, drwiący z nas, urągający nam po wsze czasy... wróg nasz, z szaleństwem zmagający się miłości!!! Słysz — — —”

Promienie blade włosów rozłoży gwiazda parankowa.

\* \* \*

„Porfirjusz Bataneota małżonce swej, Marcelli, pozdrowienie wieczne.

A nie jest pismo to, Marcello, z tych, którebym ludziom tym k'woli wszystkim, coby ze związków naszych zgorzenie odnieśli byli, przeznaczył — iżby w odpisach licznych Italję całą obiegło, broniąc czci, jeśli snadź obrona takowa — rzeczą możliwą jest, a nie krzykiem daremnym w uszy, które słyszeć nie chcą, bo milsze pogwarki srokate i barwiste nowinek, aniżeli prawdy lico białe; jest pismo to Jedynej tobie k'woli za żywota naszego tu, na ziemi wygnania.

Acz zresztą dzień przyjdzie, gdy jawną stanie się treść jego dziedzicznemu, najmiłościwyszemu z wrogów naszych, ostatecznej czasu próby. Wszakże daleki dzień.

Cóżbym tobie, Jedynej, rzec też miał inszego, niżli to wszystko, Jedyne, które wiarą mi jest od dziecka: rosło ze mną. A przeto powtórzę ci: grzechem dać się smętowi, obowiązków się swoich zaprzec k'woli napawania się marami snu, choć sercu lube.

Stało się, Marcello, którym po świecie zjawisk uludnych wędrował, wpatrzony jeno w Słońca Wiecznego odbity krąg niebieski — i którym tak przewędrował, wolny, młodość, poznania chciwą i wiek swój męski, podobny błękitowi szczeremu lata, tyle pogodę stateczną serca jaśniał, co oddane Niepokonanego służbie: stało się, że ja... o Marcello, niezdolen jestem pisać o tem.

Śmieszny jestem i wstyd mi. Snadź mały jestem, że wstyd mi śmiesznością. Śmiertelny jestem, więc wstyd mi tej, która zabija, i śmieszności mi wstyd. W duszy mam dla cię śnieżne wyże Kafiristanu, Słońca promieniami ozłoczone zachodzącego... a oto cięży mi, jak olów, niedostojne to moje zakłopotanie przed tobą.

„Byłaś wtedy żoną ucznia mego... tak i gdym pomieszany ogromnie ujrział cię, wchodzącą z promieniem słonecznym wraz we drzwi moje, przez które, zda się, nie wchodził jeszcze nikt do chwili tej, choć otwierały się ciągle — zamykały.





## SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

I może być dobra na zdjęcia filmowe do sielskich obrazków z zeszłego wieku, ale nie na żonę człowieka z wymaganiami, i który musi mieć pieniądze, aby żyć! A wasi arystokraci żenią się z żydówkami i dorobkiewiczównami dla pięknych oczu, tak? Trzeba było twojej głupoty, aby w ten sposób myśleć, no i takiej dziwaczki, jak ciotka, której mops i papuga przysłoniły już dawno zdrowy sąd! Ale hrabina nie miała złudzeń i wygrała swoje atuty! Możemy wracać do swojej idylli. A nie będzie pisma humorystycznego, któreby ciebie z tym albumem papug po milioner-ciotce nie opisało, możesz być spokojna! Ośmieszylaś dziś nas oboje, siebie i mnie, i to tak, że ani mi się śni ponosić za to konsekwencje. Wyglądam teraz jak błazen, jak matolek! Ożenić się z taką, z taką, kiedy się miało możliwość wybierać między najszykowniejszymi kobietami Europy, dla głupich paruset tysięcy, których przytem się nie dostało! To... to... Jak długo teraz przeżyjesz za tę parę tysięcy na Londyn? Jak długo? Pytam! No?

Lodowaty samum huczał mi w głowie, wyważając z korzeniami wszystko, w co wierzyłam dotąd w życiu. Dorastałam w oczach, nakształt magicznie zasilonej niezwykłym prądem rośliny pod władzą fakira: cierpiałam, twardniałam i konsolidowałam się w bryłę zamarłego z grozy bólu, w którym jednak już gdzieś na najgłębszym dnie dźwigał grzywę bunt.

Podniosłam powoli głowę i wparłam oczy wprost w oczy męża.

— Muszę żyć, bo żyje we mnie dziecko. Za londyńskie pieniądze jednak żyć nie będziemy, bo są przeznaczone przez ciotkę na Londyn. To była jej wola. Nie uważam za możliwe okradać umarłych!

Zanim zdążyłam skończyć, chwycił album i zaczął wyszarpywać karty, deptać je, drąc i niszcząc w furji wściekłości.

— Wola ciotki!? Masz jej wolę! Masz! Masz! Teraz pojedziesz! Teraz możesz się unosić szlachetnością! Łudzisz się, że będę ciebie i twoje dziecko włócił za sobą przez życie? Ależ do tego byłby dobry ten twój Romeo od gnoju, z idylli na leśniczówce, albo inny ekonom, ale nie ja! Nie ja! Nienawidzę cię, jak garbu, który mi oszpecił życie! oszukałaś mnie, oszukałaś! Rozumiesz? Nie kupuje się dziś mężczyzny za parę sentymentalnych warkoczy, które fryzjer bez stu złotych zrobi lepsze! Dla mnie żona musi być trampoliną, abym skoczył tem wyżej, abym osiągnął szczytów życia, dotąd niedostępnych! A co z tobą osiągnęłam? Co? Pytam? Co?!..

Straszne i piękne, złe w tej chwili i przeklęte oczy patrzyły na mnie z taką mściwą, tak żywiołową

nienawiścią, że uczułam szok, jak od uderzenia. Przytknęłam swoje. A może — o Boże!... może miał rację?... Oto się mściło, oto się okrutnie mściło na mnie moje niedobre, moje skłamane szczęście! Oto moja nagła i niezasłużona niczem u życia karjera, wyrosła z nicności, jak miraż w piaskach: rozsypywała się w piasek i rozpływała w nic. Gorzej! Rozpływała się w krwawe ślady, paliła luną upokorzenia, smagała chłostą obelgi. Więc tak oto mnie kupiono, tak? Więc Lora wiedziała? I czy nie dlatego jej dwuznaczne listy, zwłaszcza ten przedziwny ślubny prezent — trykotarska maszyna dla domniemanej pani zamków i włości na Węgrzech? A ciotka... Biedna ciotka! Jakże umiał ją wziąć swoją układnością i składkami na Piotra Klawera! Wiedziała mniej o praktycznym znawstwie niektórych cech życia, co ja, w moje siedemnaście wówczas lat! Teraz... miałam dziewiętnaście. I jak przed małym, wyrzuconem na slotę kocieciem, skulonem od strachu i zimna, do którego nie przywykło, stanęła nagle przedemną ślepa ściana życia — mur, którego nie potrafiłam obejść sprytem, a przez który się przedostać nie miałam sił.

Nagle zrozumiałam, że dalej tak żyć — nie można. Że dalej wogóle — nie mogę, nie mam sił już żyć! Myśl o spokoju bez marzeń wydała się najcudowniejszą przystanią. Śmierć! Dzieciatko odejdzie ze mną. Umrzemy razem, we dwie — byłam pewna, że będę miała córeczkę. Całe miasto z hałasem, ulicami, autami, twarzami i pędem przeleciało gdzieś ponademną, jakgdybym już leżała w ziemi. Rozpadły się i zbieleły ochłapami, jak ginąca mgła, plamy z rysami Lory, Mimisja, kuzyna w Anglii... Tylko płomienne, zionące nienawiścią, bliskie oczy męża były jeszcze tuż, w mózgu. Umrę — i cóż mi zrobi? I cóż mi zrobi?... Już wtedy nie będzie mi mógł powiedzieć więcej nic, nic! Nie będzie mógł uderzyć ciężką książką, ani słowami, chloszczącemi, jak razy szpicruty... Ale jak? Ale jak?...

Odruchowo spojrzałam na lekarstwa. Weronal! Wiedziałam, że to trucizna. Nie wiedziałam, w jakim składzie i ilości, ale wtedy nie miałam czasu na myśl. Działałam sprawnie i automatycznie, jak maszyna, nastawiona na pewną ideę. Chwyciłam flaszeczkę, i jednocześnie uciekając od męża, który mnie usiłował złapać za rękę, dookoła stołu, wychyliłam wszystko, co było. Poczem potknęłam się o dywan usłyszałam przekleństwo, huk spadającego sprzętu i straciłam przytomność, z poczuciem bezgranicznej ulgi, że to już — śmierć.

\* \* \*



Następny moment, który wyjaskrawia mi się w pamięci z mroku i niebytu, to — masa bieli. Razi mnie to i prawie boli: gubię się w płaszczyznach. Lampa świeci zgóry: boli. Jestem próżna i jakby obca: jakgdyby po wyjęciu wnętrzości. Może umarłam i to — sekcja? Leżę wysoko. Wszystko dokoła boli. Może w środku?

Część białego skupia się w postać. Jest ich dwie. Widzę ruchy, ale nie słyszę, co mówią. Potem zaczynam słyszeć. Najprzód — trąbka auta, gdzieś bardzo daleko za oknami i grubym murem z waty. Potem — maleńki, słabutki, nieznany pisk. Kot? Ptak?... Niewiedzieć skąd przypomina mi się nazwa: Przyjaciele Maleńkich Więźniów. Ale pociąga to za sobą coś bolesnego, jak potrącenie rany, bo krzywię boleśnie twarz i zamykam oczy.

Głos nademną mówi:

— Trzeba się śpieszyć. Zaraz się będzie budziła. Co tam?

I drugi, męski głos odpowiada z białych odległości:

— Dziewczynka. Czy siostra trzyma puls?

Słyszałam, ale nie zdawało mi się wcale, że ma się to jakoś odnosić do mnie. I znowu na długo zapadłam w mrok.

\* \* \*

Hanuśka już miała trzy miesiące, kiedy można było wyjechać z nią do domu. Do domu! Napisałam, i prawie zdziwiłam się sama! Czy było to chociaż cośkolwiek wspólnego z domem?... Jednak, trzeba było gdzieś żyć. A odkąd miałam ją — chciałam żyć i musiałam żyć.

Swoich uczuć tu omawiać nie będę. Matki je znają — nie - matki ich nie pojmą i tak. Mogłam godzinami patrzeć, jak zamyka i otwiera malusieńkie, słabutkie piąsteczki, o paluszkach, podobnych do płatków kwiatu. Mogłam bez ruchu czuwać przy niej, podglądając wędrówkę głupiutkich, pustych jeszcze oczek, ażeby przypadkiem zatrzymały się na mnie; mogłam się roztopić w tak nieopowiedzianych i zapewne nudnych dla postronnego widza zachwytach, że lepiej to pominąć. Przechodzę do samych faktów.

Chorowałam w szpitalu, i tam też przyszła na świat Hanuśka. Z odtruciem poszło łatwo, ale zapadłam na zapalenie mózgu, które trwało trzy tygodnie. Hanuśka przyszła na świat przed czasem, byłam narkotyzowana. Ze wszystkiego jednak wyszłam i w pewnej chwili stanęłam przed problemem: co dalej?

Co dalej?

Dowiedziałam się, że szpital jest zapłacony naprzód, i że dowiaduje się o mnie i załatwia rachunki jakaś starsza osoba. Nie miałam pojęcia, kto? Ale ostatecznie, byłam zbyt osłabiona, aby się zbytnio tem

interesować. Ktoś dbał — to dobrze. Bo ja mogłam dbać tylko o Haneczkę.

Ku memu zdumieniu, starsza osoba okazała się... panną Dominiką. Nie zmieniła się nic: taka sama sucha, czarna i patykowata, tylko się ubrała nieco za mój wiek, niż kiedy była panną służącą ciotki. Właściwie, i wtedy była samorządną duenną pałacu i wszystkich mieszkańców, ze mną włącznie. Boże, co ta Dominika niegdyś mnie kosztowała leż!...

Teraz wyglądała na osobę nieokreślonej rangi, jakie się widuje przy kościołach — rodzaj bezimiennej wdowy po apostołach. Twarz jej żółkła, bez zmarszczek, obciągnięta na policzkach, jak stanik na biuście. Nosiła teraz czarną woalkę i skórkowe rękawiczki, zamiast dawniejszych mitenek z włóczki.

Ukloniła mi się, nie wyciągając ręki i nie zbliżając się zbyt ekspansywnie, jakbyśmy się rozstały w dniu wczorajszym, po długim i powszednim obcowaniu.

— Doktor mnie zawiadomił, że można już odwieźć. Spodziewam się, że będzie ze zdrowiem coraz lepiej. Przyniosłam pomarańcz — może będą do gustu?

Starła się mówić nieosobowo, ale wyraźnie ani razu nie nazwała mnie: baronową, za co byłam zresztą jej wdzięczna. Ale właściwie, skądże ona?

Powiedziałam parę słów, dowiedziałam się, że mieszka z mopsem ciotki, Markizem, w myśl woli ciotki, w mieszkanku, przygotowanym jeszcze za jej życia, i ostatecznie, zdecydowałam się zasięgnąć wieści.

— Czy... czy panna Dominika ma jakieś pieniądze na płacenie rachunków? I od kogo? Czy baron... czy mój mąż...

Suche wargi duenny zacięły się jeszcze bardziej.

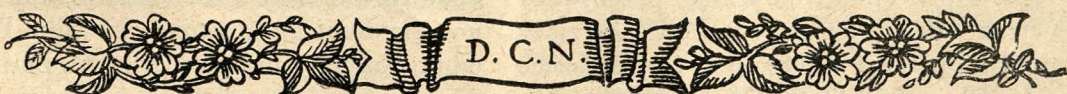
— Nie miałam sposobności widzieć pana barona. Musiał wkrótce po pani zapadnięciu wyjechać z miasta. Widział się jednakowoż z panią hrabiną.

— Z... Lora? Czy Lora jest w mieście?

— Pani hrabina wyjechała zagranicę. Pani hrabinie klimat podobno nie służy. Przynajmniej od czasu śmierci pani baronowej, powiada, że czuje się w kraju niedobrze. Może zagranicą spotkała się z panem baronem? Podobno miał go ktoś widzieć w Zopotach, w drodze także gdzieś na południe.

Zagranicą! Więc jednak miał pieniądze? I, mając, mógł do mnie mówić, jak wtedy... jak wtedy... czułam w sercu nienawiść, jak pchnięcie noża. Przez niego omal... Boże, czy mi wybaczysz?... przez niego omal nie zabiłam Hanuśki!

Otoczyłam mimowoli mocniej ramieniem maleństwo, które w tej chwili spało. Dominika rzuciła na nią swemi oczkami, jak suszone śliwki.







Odnawianie namiotu tureckiego w pracowni pani Lukaszewiczowej na Wawelu

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## WAWEL DAWNIEJ I DZIŚ

Kiedy byliśmy dziećmi, wożono nas do Krakowa, jak do miejsca świętego. Naprzód do Częstochowy pod opiekę Jasnogórskiej Królowej, a potem na Wawel, pod opiekę wielkich świętych Narodu. Taki był zwyczaj w polskich domach. Najświętszej Paniencie powierzano zdrowie dziecka; prochy królów i bohaterów miały cpancerzyć jego duszyczkę przed rusyfikacyjnym najazdem szkoły.

To patriotyczne nabożeństwo odprawiało się ze zbożnym sentymentem. Płakaliśmy jak bobry, kiedy ochrypla katarzynka w Szczakowej, czy Trzebini grała „Jeszcze Polska nie zginęła!“. W podniosłym nastroju pielgrzymowaliśmy na Wawel, aby pokłonić się grobom królewskim. Wychodziliśmy z tych lochów śmierci w przygnębiającym poczuciu bezsiły. Królowie umarli, Polska żyła, ale pod ziemią. Nie starczyło dla niej słońca, ani nieba. Po królewskim podwórzu snuły się, jak na urągowisko, strzepy błękitu: szaroniebieskie mundury austriackich gemajnow. Strzeliste kolumny krużganków ginęły we wnętrzu masywnych filarów, jak rajskie ptaki, połknięte przez węża dusiciela. Wnętrza sal i komnat zamkowych ziały czemś gorszym, niż pustką i ruiną: było to panoszące się wszędzie barbarzyństwo nowoczesnego ustroju

burżuazyjno-militarnego. Rzeźbionych pułapów ani śladu, niedbale otynkowane ściany pociągnięte były na wysokość człowieka smołą. Rzędami stały przyce żołnierskie. Pachniało kordegardą. W jednej z sal odbywała się właśnie próba orkiestry wojskowej. Wstrząsane brutalnym wrzaskiem tręb, mury jęczały boleśnie. Pamiętały przecież surmy Jagiellonów...

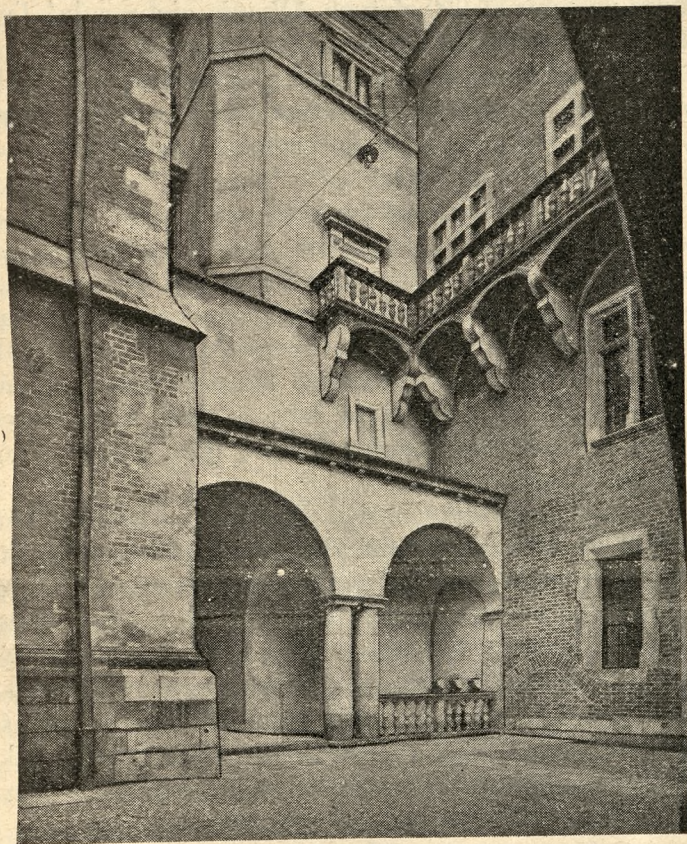
Dwadzieścia pięć lat temu usunięto wojsko z Wawelu. W ciągu tego ćwierćwiecza, które zmieniło oblicze Europy, Zamek na Wawelu z koszarowej ruiny stopniowo staje się relikwiarzem przeszłości. I dzisiaj, gdy bez fanatyzmu, obiektywnie spojrzeć mamy prawo na okres jego upadku i profanacji, przyznać musimy ze wstydem, że nie wszystkiemu byli winni austriacy... Wolne Miasto Kraków pierwsze pokazało im drogę, dało poglądową lekcję wandalizmu, przegradzając i deformując sale w celu umieszczenia w nich przytulku dla starców. Dzisiaj na szczęście zatarły się ślady tej smutnej gospodarki.

Pokolenie młodych, to, które dojrzało po wojnie i nigdy nie widziało „skoszarowanego“ Wawelu, odnosi się do niego w swoisty sposób. Razi je „świeżość“ odnowionych i urządzonych sal, białosc ścian, połyski marmurów na posadzkach i kominkach, drzwi cisowe,

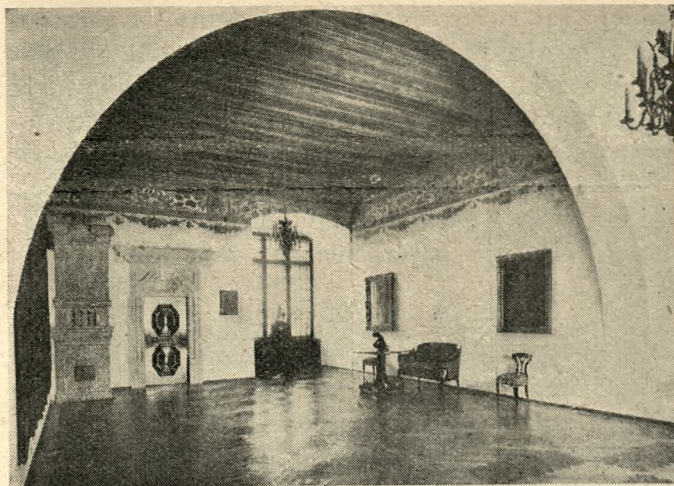


schłudność wnętrza, przypadkowość umeblowania, razi cała strona reprezentacyjna i turystyczna zabytku, służba mundurowa, wojłokowe pantofle, przymusowy, a niezbędny aparat zwiedzania. Woleliby widzieć ten Wawel mniej nowym, mniej muzealnym, więcej prostym, zmurszałym, piastowskim. Takim, jak powały zamkowe: modrzewiowe, okopcone dymem wieków, nawisłe brwiami belek w srogiej zadumie wielkości nad „rzeczą pospolitą“...

Tym malkontentom wawelskim można odpowiedzieć: 1-o, że praca konserwatorska nie polega na fabrykacji antyków i że nie godziłoby się poddawać drzewa toczeniu robaków, a brzozy i marmury powlekać sztuczną patyną, aby osiągnąć efekt, podobny do efektu omszałej butelki „stuletniego“ rzekomo węgryzyna. 2-o, że udekorowani inwalidzi stanowią straż honorową wszystkich niemal historycznych zabytków, że weźmiemy choćby klasyczny przykład słynnej Carcassonne we Francji, reprezentującej w podobny sposób romańskie średniowiecze, jak Wawel reprezentuje polski renesans. 3-o, a to już na pociechę, że w Krakowie i ludzie i rzeczy niesłychanie szybko się starzeją, zaczynają trącić myszką, przechodzą do legendy. Jakże prędko szerniała i zbladła w kościele Marjackim polichromja matejkowska, od której bolały nas oczy, kiedy byliśmy dziećmi, a sięgając do mniej uroczystych zjawisk życia krakowskiego, czyż nie należą już dziś do przeszłości muzealnej. „Micha-



Dziedzińczyk Batorego z wieżą Jana III, odrestaurowany według planów prof. Szyszko-Bohusza



Jedna z odnawianych komnat Wawelu. Malowidła ścienne krakowianina Djonizego Stuba (XVI w.) - obrazy z fundacji wawelskiej. Leona hr. Pinińskiego, meble dary radcy Waltera, Abrahamowiczów i ś. p. Jerzego hr. Mycielskiego, Piec korecki.

likowa Jama“, w której trudno się zorientować bez fachowego przewodnika czy katalogu? czyż nie porósł pleśnią „Zielony balonik“?

Kto wie, gdyby Boy nie był zdradził w porę plantów krakowskich dla warszawskiej Alei Trzeciego Maja, może dziś, zamiast zagłębiać się w „Miłość“ Stendhala, przypatrywałby się smutno i urągliwie pomnikowi siebie samego na tychże plantach krakowskich z wymownym napisem na cokole: „Twórcy kantyczek nabożnych“. Kto wie?

Ale wróćmy do Wawelu. Obecnie cała energia kierownictwa odbudowy skupiła się na przyobleczeniu w godną szatę komnat, przeznaczonych na rezydencję Prezydenta Rzeczypospolitej. Znajdują się one w tej części zamku, która kilkakrotnie nawiedzana była przez pożary. Niszczycielskie ślady ognia widać i dziś jeszcze na opalonych i poobtlukiwanych fragmentach nadproży, obramień drzwi, kominkach. Słynny kominek Wazów, istne cacko z różowego i brunatnego marmuru, rozwesela poważne i zaciemnione rusztowaniami wnętrze uroczem ciepłem i miękkością barw. Cóż dopiero, gdy pełgać po nich zacznie krwawy blask paleniska...

Komnata w baszcie zwanej „Kurzą stopką“ przeznaczona jest na gabinet Prezydenta. Ze słonecznego stropu patrzeć będą alegoryczne malowidła Weissa. W sali zwanej „Alchemją“, gdzie niegdyś król Zygmunt Waza w tyglach sekretne topił aljaże, szukając tajemnicy robienia złota, wkrótce zapanuje nowoczesna chemja odżywiania: będzie tu sala jadalna. Zdałoby się, że najtrudniejszym problemem architektonicznym jest przystosowanie tych starodawnych wnętrz do wymogów nowoczesnego komfortu i higieny, bez poważniejszych uszczerbków stylowych. Sprawę centralnego ogrzewania rozwiązano bardzo sprytnie, maskując kaloryfery we wnękach okiennych.



W jednej z sal, świeżo odnowionych, kanały z gorącym powietrzem ukryte są pod posadzką. Instalacje wodociągowe i kanalizacyjne łatwo dały się pogodzić z pierwotnym rozkładem komnat, gdyż praojcowie Wawelu okazali w tym kierunku dużo inicjatywy i dbałością o schludność i higienę wyrosli ponad wiek swój i obyczaje, że wspomnimy choćby tylko dla porównania ohydnie zapługawione zamki Walezjuszów.

\* \*

Wiadomo, że człowiek z czasem upodabnia się do swego środowiska. Twarze starych owczarzy ludzko przypominają owce, ogrodnicy nabierają giętkości łodyg kwiatowych i roślinnej pogody w spojrzeniu, drwale są zwykle krępi, mocni, nabrzmiali guzami mięśni, śniadzi, jak smolna karpina.

Powszechne prawo przystosowania się rozciąga się i na artystów: prawdziwy artysta oddaje duszę swą materiałowi, w którym pracuje i odwrotnie: dusza materiału wciela się weń stopniowo.

Kierownik odbudowy, prof. Szyszko-Bohusz, jest milczący i monumentalny, jak mury Wawelu, z którymi doskonale porozumiewa się mową stuleci. Rzekłbyś, jeden z filarów zamku, podtrzymujących jego sklepienie.

Kustosz zbiorów wawelskich, dr. Morelowski, jest wymowny, bystry, ruchliwy. W ustawicznej pogoni za antykiem musiał duszę swą rozdrobnić na 2300



Correggio - Chrystus ubiczowany, z fundacji wawelskiej hr, Pinińskiego



Pejzaż zimowy, jeden z najlepszych obrazów H. O. Srečka dar ś, p, Jerzego hr, Mycielskiego,

duszynek (bo taka jest cyfra zbiorów wawelskich), z których każda żyje własnym życiem w obrazach, gobelinach, arrasach, bronzach, rzeźbach, wazach, zbrojach i sprzętach, zaludniających sale Wawelu. Gromada liczna, a jak różnolitego autoramentu! Fundacje, dary, zakupy... A jakie ponętne widoki na przyszłość! Choćby tych siedem portretów królów i królowych polskich, które można kupić od rządu austriackiego za sumę 80.000 złotych. Okazja niebywała! Tylko skąd wziąć pieniądze?

Kuma troska spędza sen z powiek kustosza... Ale on nadziei nie traci, że to samo społeczeństwo, które za 60.000 dolarów zakupiło cegiełek wawelskich, jeszcze się i na to wysili...

Jednym z najciekawszych zakątków odradzającego się Wawelu jest pracownia pani Łukaszewiczowej, państwo małej czarodziejki, która arrasom, gobelinom, kilimom starodawnym przywraca pierwotną ich świeżość i barwy. W kątku podłużnej, jasnej sali skromnie tuli się miniaturowe laboratorium: maleńka kuchenka do gotowania farb, a obok na półeczce słoiki z barwnikami naturalnymi: żółte drzewo, kosenilla i inne.

Nad tą malutką armią proszków, wiórków, listków i blaszek przewodzi drobna, ruchliwa figurka z hebanu i kości słoniowej, posążek, nieobjęty katalogiem zbiorów wawelskich. Czarna sukienka, krucze, gładkie, metalicznie lśniące, „na pazia“ obcięte włosy. A w tej agatowej oprawie podłużna twarzyczka, matowa i blada, bladością rzeźb z kości słoniowej, rozjaśniona błyskami ciemnych, jak noc oczu. I para rąk, wiecznie ruchliwych, głodnych pracy, jak ptaki ziarna.

— Nasza praca nad arrasami ograniczyła się narazie do dokładnego ich oczyszczenia z kurzu i moli oraz pobieżnej naprawy ważniejszych uszkodzeń —



kresowym akcentem przemawia posązek. — Mamy jeden arras tak podarty, że z 46 kawalków udało się złożyć zaledwie połowę tkaniny. Arrasy są tkane wełną, złotymi nićmi i jedwabiem. Może polskie jedwabnictwo dostarczy nam niedługo odpowiedniego, grubo kręconego jedwabiu...

Na ścianie wisi szereg kwadratowych płatów, barwy niegdyś malinowej, dziś mocno spłowiałej, zdobnych oryginalną płócienną aplikacją. Okazuje się, że są to części namiotu tureckiego, zdobytego pod Wiedniem. Bogata płócienna aplikacja naszyta była pierwotnie na ciemno ponsowym płótnie, które o wiele później, już w Polsce zastąpiono bawełnianym atłasem, obecnie popękany i wyblakły. Robotą konserwatorską polega na zastąpieniu brakujących części nowym samodzielnym płótnem i przeniesieniu całości na nowe tło płócienne, zgodnie z pierwowzorem.

Widać, że twórcy namiotu dbali o wygodę jego mieszkańców; świadczą o tem liczne okna, zasnutę gęstą kratą z kręconego sznurka. Są i ślady okiennic płóciennych, które zamykano zapewne na noc i podczas deszczu.

Po całkowitem odnowieniu namiot zawiśnie w jednej z mniejszych sal, nie posiadających cennego pułapu i dekoracji ściennej. Zwiedzający znajdzie się, wchodząc, odrazu we wnętrzu namiotu, urządzonego tak, jak to było pod Wiedniem.

Ażeby dać ludziom tę chwilę złudzenia, ileż trzeba mrówczej pracy rąk kobiecych, iluz żmudnych prób farbiarskich, aż się osiągnie pożądany odcień, ileż godzin cierpliwego dłubania igłą, benedyktyńskiego wyskubywania nitek starej tkaniny...

Z dalszej rozmowy wynika, że hebanowy posązek czytuje „Bluszcz”. Ten fakt, napozór tak prosty, napęlnia mnie żywym zdumieniem. To tak, jakgdyby lektura „Bluszczu” była ulubioną rozrywką arrasów wawelskich. Kto wie? w laboratorium małej czardziejki dzieją się może i takie cuda?

## Z ŻYCIA EKRANU

(„Powrót z niewoli” — „Prezydent”, — *Wszyscy — dla wszystkich*)

Nieraz już dawało się zauważyć, że to, co zrodzone w Europie, występuje tu w postaci nieśmiałego eksperymentu — przeszczepione na grunt amerykański, rozwija się, dojrzewa, przybiera zdecydowaną formę i, jako „nowa szkoła”... wraca do Europy. Tak też działo się z filmem psychologicznym. Zapoczątkował go, bodaj, Murnau „Portjerem z hotelu Atlantic” (nie mówię tu, naturalnie, o dawnych filmach, w których przeżycia wewnętrzne bohaterów były traktowane w sposób teatralno - literacki). Kontynuując ten rodzaj na gruncie amerykańskim, Murnau stworzył „Wschód słońca”, który odrazu uznano za pewien zwrotny punkt w twórczości filmowej, starając się iść



Scena z filmu: „Powrót z niewoli”

dalej w tym kierunku. Charakterystyczny jest fakt, że nowy t. zw. „dyrektor produkcji” wytwórni berlińskiej *Ufa* — Eryk Pommer, wróciwszy do Niemiec po kilkuletnim pobycie w Ameryce, zaleca tworzenie filmów kameralnych i psychologicznych, jako „ostatnią nowość”, odpowiadającą duchowi czasu (czytaj — zainteresowaniu publiczności).

Tak więc pod wpływem tych wskazań powstał „Powrót z niewoli”, który jednak bez amerykańskich doświadczeń pewnieby się nie narodził, aczkolwiek materiał do stworzenia podobnego filmu był na miejscu (scenarzysta, reżyser, aktorzy).

„Powrót z niewoli” znów przenosi nas w lata wielkiej wojny, którą ukazuje jednak od strony, dotąd na ekranie nie widywanej. Niema tam piekła walk frontowych, ruin, zniszczenia, okopów, niema patosu bohaterstwa i śmierci. Jest tylko niekończące się cierpienie, oderwane całkowicie od idei, w imię której się je znosi, nieprzerywane choćby chwilowem upojeniem zwycięstwa, — pozbawione rozkoszy ofiary. Treścią filmu są dzieje dwóch niemieckich jeńców wojennych, zagubionych gdzieś w bezkresach azjatyckiej Rosji, i — ich powrót z niewoli, który dla jednego z nich jest ruiną szczęścia rodzinnego. Najsilniej i najpiękniej jest przeprowadzony w tym obrazie motyw tęsknoty za domem, potraktowany prawie muzycznie. Zaczyna się tęskną melodją harmonji, ginącą w nadržecznych mgłach i oparach — rośnie, potężnieje, nabiera mocy, aż wybucha w chóralnej pieśni jeńców. Przybierając akcenty dramatyczne, przewija się w postanowieniu ucieczki, gubi się na pewien czas w piaskach pustyni, aby wreszcie zagrznieć wstrząsającym akordem w chwili wyzwolenia (sceny w kopalni, odzyskanie wolności). Cała ta pierwsza część przeżyć jeńców ujęta jest w przesłiczne ramy krajobrazów, stwarzających jakgdyby dalszy ciąg tej „muzyczności”.

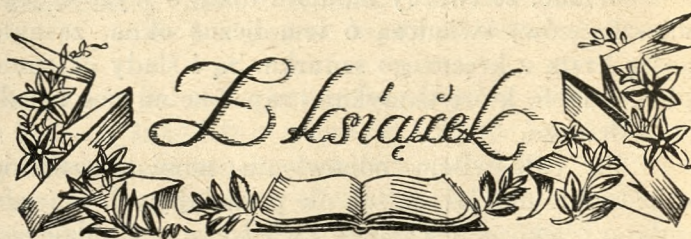


W drugiej części motyw tęsknoty występuje raz jeszcze (piosenka, śpiewana w restauracji), jakgdvby naumyślnie skażony, przytłumiony hałasem ordynarnej zabawy, będący już tylko dalekim echem przeszłości. Wszystko to, co się dzieje po powrocie z niewoli, potraktowane jest zupełnie realistycznie, powiedziałabym nawet, że — za bardzo. Uwikławszy się w konflikt psychologiczny i chcąc go oddać środkami tylko kinowemi, reżyser (Joe May) rozmiłował się zbytnio w analizie procesów uczuciowych swych bohaterów. Żal mu było każdego drgnienia, każdego odruchu. To też przeholował trochę w *ralentandach* (noc po powrocie męża); przyśpieszenie tempa nie ujęłoby nic filmowi, a może nawet zwiększyłoby napięcie. Kto wie, czy to zbytnie przesubtelnienie nie jest tu nawet pewną fałszywą nutą, skoro się zważy, że akcja rozgrywa się nie w świecie wyrafinowanej kultury, lecz wśród drobnomieszczactwa, rozstrzygającego tego rodzaju konflikty w sposób bardziej prymitywny. Pomimo tych zastrzeżeń, „Powrót z niewoli“ należy uważać za jeden z wybitniejszych filmów ostatniej doby, świadczących o tem, że dla kinematografii europejskiej zaczyna się znów era rozkwitu.

Z ostatnio wyświetlonych filmów europejskich należy wspomnieć o „Prezydencie“. W filmach amerykańskich widywaliśmy już niejednokrotnie podobne Illirje i Rurytanje, leżące gdzieś na południo-wschodzie Europy. Śmierć starego króla, knowania wrogów panującej dynastji, spisek, zamach stanu, miłość młodego władcy do ubogiej dziewczyny — oto niezmiennie składniki tych obrazów, traktowanych przez ich twórców niby satyrycznie, a jednak nie bez pewnego respektu dla wszystkiego, co pachnie dworem, ceremonjałem, galowemi mundurami, słowem — blaskiem korony. Amerykanie lubią bajki o królach, choćby nawet znajdowali w ich „blaskach i nędzach“ także wiele pierwiastku humorystycznego. Nas, europejczyków, stać na więcej — możemy pozwolić sobie na satyrę nawet w stosunku do t. zw. zdobywcy demokracji. „Prezydent“ jest właśnie taką, niezmiernie oryginalnie potraktowaną satyrą na powszechne głosowanie, agitację wyborczą, konszachty partyjne, słowem — różne bolączki „demokratyczne“, aktualne dziś w niejednym europejskim państwie. Mam wrażenie, że „Prezydent“ jest w równej mierze dziełem realizatora (C. Rhigelli), jak Mozżuchina, grającego główną rolę, który wypełnia sobą cały obraz. Intelktualizm tego aktora, o czem można sądzić chociażby z wyboru odtwarzanych przez niego postaci (Mozżuchin prawie nigdy nie grywa byle jakich szablonowych bohaterów, lecz — „Kean'a“, „Casanovę“, „Mateusza Pascala“ — Pirandella i t. p.), promienieje z każdej sceny, nie zabijając jednak jej walorów kinowych (jest w tem pewne podobieństwo z Chaplinem). „Prezydent“ jest filmem groteskowym i dramatycznym, we-

sołym i poważnym zarazem, zaś akcja, pomimo ciągłych niespodzianek, rozwija się według pewnej logicznej linii. Bo też o ile duch tego filmu jest bezwzględnie „europejski“, — forma jest niezaprzeczenie amerykańska. Budowa scenariusza, montaż, opracowanie epizodów, tempo — wszystko to zdradza wpływ reżyserów z poza oceanu. Wspominam o tem dlatego, że w wymianie wartości filmowych między Ameryką i Europą niema dłużników ani wierzycieli, a ciągle odważanie i odmierzanie, *kto dał* sztuce kinematograficznej *więcej*, jest niepotrzebnym kramarstwem. Jest to przecież nic innego, jak „współpraca intelektualna“, która może na żadnym innem polu nie posunęła się tak daleko i nie dała tak realnych rezultatów.

Stef. H.



Herman Bang: „Tragedja Bezdomnych“ powieść. przełożył L. Staff. Z przedmową Emila Ludwiga.

Są poeci, którzy nie mogą oderwać swojej twórczości od swego „ja“. Pisząc pozornie obiektywne powieści, w postaciach bohaterów ucieleśniają najwznioślejsze marzenia o sobie. I oplątawszy je siecią zawitych problemów psychologicznych, życiowych, społecznych, wikłają się w nią sami i nie zdołają nigdy się z niej uwolnić. Marzenie twórcze miesza się z rzeczywistością autora, jako człowieka, z dokonanyim faktem jego prywatnego życia. Powieść, która miała być aljażem pewnej artystycznej koncepcji z przewodnią linią duchową twórcy, z jego, powiedzmy szczerze i **poprostu, prześladowczą „idée fixe“**, wybuchła płomiennem wyznaniem. Postać głównego bohatera, która miała *służyć* autorowi do przeprowadzenia pewnej tezy, staje się *panem*, uzurpuje sobie władzę dyktatorską nad akcją powieści, wyrasta ponad jej ramy, rozsadza je, zaczyna żyć własnem życiem.

Tak powstała „Tragedja bezdomnych“, ściślej „ludzi bez ojczyzny“, labędzi śpiew Hermana Banga, który z przedziwną mocą intuicji kazał na wieki zamilknąć swemu powieściowemu sobowtórowi, skrzypkowi Joanowi Ujhazy, niemal w chwili, gdy jego samego śmierć - koicielka powołała z ziemi wygnania do wspólnej ojczyzny wielkich samotników.

Samotność jest przywilejem i klątwą dusz wyjątkowych. Niemal każdy artyzm, to rozpaczliwa ucieczka przed jej zmorą. To surogat miłości, przyjaźni, domu rodzinnego, ojczyzny, tego wszystkiego, co ludzie zwykli nazywać szczęściem. Joan Ujhazy, zro-



dzony na wyspie wygnańców, na wyspie, której „nie ma na mapie“, nie może w pogoni za idealnym pięknem, za potęgą sztuki i sławą zatracić chorobliwej żądzę posiadania własnej ojczyzny. Arystokratyczne pochodzenie, okoliczności życia, włóczęga artystyczna, powinny być z niego zrobić nowoczesnego kosmopolitę, ale on dusi się w skórze wytwornego cygana. Jest człowiekiem z ubiegłego stulecia, niezdolnym do „przeskoczenia ciernistego płotu“. Pomimo wszystko żyje w niewoli serca. I to serce, obarczone dziecinną nostalgią, która mu w dzieciństwie zabrała matkę, gna go do jej stron rodzinnych, do Danji. Tam znakomity wirtuoz, dławiony tajoną zgryzotą, że są więksi od niego artyści, którzy grają „o czemś większym, o nowej radości“, postanawia zagrać poraz ostatni. I tam danem mu jest przeżyć jedyny romans jego życia, romans poety, — bez uścisków, pocałunków, zmysłowego upojenia, romans spojrzeń i niedomówionych słów z uroczą duńską dziewczyną. W ciągu jednego wieczoru urasta w nim, dojrzewa i tragicznie załamuje się złudzenie, że uda mu się wspólnie z wybranką serca uczynić ze swej wyspy wygnania krainę szczęśliwości dla tych, którzy, podobnie jak on, są tylko gośćmi na tej ziemi.

Z czarownego snu budzi go okrutna rzeczwi-  
stość.

Jego wybranka jest córką kupca win, a jej otoczenie, światek drobnomieszczański, odmalowany w całej galerji typów, z których każdy jest dziełem mistrza, — ten świat podziwia w Joanie sławę europejską, odczuwa go, jako artystę, ale odpycha od siebie, jako człowieka bez ojczyzny, obcego przybłędę.

Herman Bang osiągnął szczyt techniki i dyskrekcji w markowaniu najsubtelniejszych odruchów duszy. Jego bohater mówi b. mało, odpowiada najczęściej monosylabami, ale milczenie jego ma wymowę potężniejszą od słów. Przekład Staffa, skupiony i poetycki w przedmowie, ma **chwile zaniedbania** w tekście

S. P. O.

Jan Brzokowski: „Psychoanalitik w podróży“. Powieść. Warszawa 1929; Nakładem księgarni F. Iloesicka.

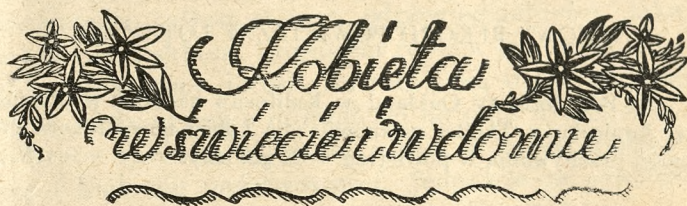
Czy dawniej nie pisano powieści eksperymentalnych? Oczywiście tak, tylko nazywano je skromnie bruljonem, studjami przygotowawczymi, szkicem powieści, próbą własnych sił. Zazwyczaj te próby nie widziały nigdy światła dziennego, i wędrowały do pieca, aby odrodzić się z popiołów w nowej, dojrzałszej koncepcji. Dzisiaj postępuje się inaczej. Zamiast do pieca rękopis idzie do wydawcy i ukazuje się w druku z zieloną opaską przez pierś: „Powieść eksperymentalna, detektywno-filmowa“.

W rozdziale pod tytułem „Ekspresjonizm w miasteczku“ autor rozwija przed nami swoje „credo“ artystyczne. Według niego „nowym walorem artystycznym jest niejednolitość formalna. Trzysta stron, utrzy-

mane (!) w tym samym typie formalnym, są dowodem ubóstwa stylistycznego autora. Powieść powinna się składać z odrębnych części formalnych, tak jak np. sonata. Poszczególne części powinny być utrzymane w typie „allegro“, „lento“, czy „andante“. To samo z zakończeniem. Uważam, że używanie jednego tylko zakończenia jest prowincjonalizmem artystycznym“. W myśl tej teorii autor w jednej książce daje nam niedbale próby powieści filmowej, detektywnej, psychologicznej, podróżniczej i wreszcie do wyboru dwa zakończenia.

Pomimo wysilania się na oryginalność nie udało się autorowi zarówno w przeprowadzeniu fabuły, jak w eksperymentach formalnych wznieść ponad przeciętną banalność. Postacie są dziwnie płaskie, pozbawione profilu. Epizody rozlatują się na wszystkie strony. Całość nie ma bryły, a jako eksperyment powinna była zostać w tece autora na jego prywatny użytek.

S. P. O.



10 LAT PRACY W RADZIE MIEJSKIEJ STOLICY.  
demji.

Samorząd miejski Warszawy obchodził w dniu 20 marca 10-lecie swego istnienia i działalności.

Wśród 54 radnych, którzy bez przerwy, przez drugą już kadencję, piastują swe godności kobiety: są to panie dr. J. Budińska-Tylicka, E. Iwińska, K. Jaworowska i Z. Praussowa.

Zasłużone działaczki otrzymały pamiątkowe żetony.

Obecnie w radzie miejskiej stolicy zasiada 12 kobiet, wybranych przez różne grupy społeczne.

J. K.

ZJAZD KOMITETU WYKONAWCZEGO MIĘDZYNARODOWEJ RADY KOBIET.

W kwietniu odbędzie się w Londynie Zjazd Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Rady Kobiet.

Rada Narodowa Polek weźmie udział w zjeździe, przyczem przewidziany jest referat p. St. Adamowiczowej na temat: „Udział organizacyj kobiecych w sprawie zdrowia publicznego“.

Rada Narodowa, jako reprezentacja Polek na zagranicę, skupia ogół organizacyj kobiecych, społecznych, zawodowych etc. bez względu na ich odcienie polityczne. Na czele Rady stoi b. senatorka J. Szebekówna i p. Szelałowska, jako wiceprzewodnicząca.

J. K.

AUSTRALJA NIE ZAŁUJE PIENIĘDZY DLA DZIECI.

Australja jest jednym z krajów o najintensywniejszym rozwoju opieki społecznej. Przed wojną jeszcze wprowadzono tam najszerzej pojętą formę ubezpieczenia starców, t. zw. „old age pension“, w myśl której każdy obywatel, który ukończył 65 lat, ma prawo do emerytury. Teraz znów stoi tam na porządku dziennym sprawa ubezpieczenia dzieci. Parlament australij-



ski zajmuje się właśnie ułożeniem odpowiedniego projektu. Istniał początkowo projekt, aby każda rodzina niezamożna, mająca więcej niż dwoje dzieci, a nadto każda, obciążona dziećmi wdowa, miała w myśl tego wniosku, otrzymywać zapomogę w sumie 10 szylingów tygodniowo na każde z dzieci. Obliczono jednak, że zapomogi te zwiększyłyby dotychczasowe wydatki na opiekę nad dziećmi o... 50 milionów funtów, t. j. o pięć razy. Tak wielkiego wydatku skarb ponieść nie może, bez poważnego naruszenia równowagi budżetowej, idącej za nim zwyczajki cen i bezrobocia. Wobec tego powierzono specjalnej Komisji określenie możliwego maximum funduszu, postanawiając powiększyć go co 5 lat.

N. J.

#### PLACÓWKI NAUKOWE STOJĄ WE FRANCJI DLA KOBIET OTWOREM.

Kobiety francuskie, którym kraj odmawia dotąd praw politycznych, zdobywają wciąż nowe placówki społeczne i naukowe. Mianowano kobietę profesorem fakultetu medycznego, drugą przyrodniczego, a w ostatnich tygodniach panna Beguignon została lektorką prawa cywilnego uniwersytetu w Rennes, a panna Sjoested lektorką języków i literatury klasycznej w tej samej uczelni.

N. J.

#### NOWY REKORD POWIETRZNY LOTNICZKI.

Port lotniczy Oakland w Kalifornji nadesłał wiadomość, że lotniczka p. Thades ustanowiła dla kobiet nowy rekord długości przebywania w powietrzu — 22 godziny.

N. J.

#### KRÓLOWA KWIACIAREK LONDYŃSKICH.

Trudno nie wspomnieć bodaj słów kilka o słynnych „flowers girls“ — kwiaciarkach londyńskich.

Myli się jednak srodcie, kto sądzi, że są to urocze, smukłe dziewczęta z zagadkowym uśmiechem na ponsowych wargach! Przy pachnących koszach w Londynie zasiadają pod rozłożystym parasolem, obfityłone, rozlane bardziej wszere, niż wzdłuż jejmoście opięte tylko w czarne welny, ustrojone w czarne rondelki - kapelusze i czarne rękawiczki - mitenki.

Jeśli się nie da powiedzieć o tych „ladies“ nic romantycznego to trzeba oddać sprawiedliwość, że wśród robotnic londyńskich żadne nie cieszą się tak solidną opinią istot nad wyraz uczynnych i miłośniczych, jak one.

Właśnie przed paroma miesiącami cała stolica nad Tamizą złożyła należny hołd jdednej ze swych najpopularniejszych postaci ulicy — „królowej“ kwiaciarek, Polly Willi, zmarłej w szpitalu w Westminster.

Prasa umieściła jej podobiznę i ciepłe wspomnienie pośmiertne. Pogrzeb odbył się z wyjątkową pompą i ta, która całe życie spędziła wśród pachnących roślin, została pochowana w takim przepychu kwiatów, że pozazdrościłby jej mogła nie jedyna prawdziwa królowa. Kondukt żałobny, złożony z niezliczonego tłumu, przystanął na dwie minuty — silence — w pobliżu Bramy Królowej Anny (St. James'a Park), pod której sklepieniem rezydowała Polly Wills od wczesnego ranka do nocy w słotę, deszcz i mgłę przez długie 45 lat...

Królowa kwiaciarek miała dla każdego przechodnia bez wyjątku uprzejme słówko i uśmiech.

Polly — to była cała „instytucja dobroczynności“, jak ją nazywano żartobliwie. Hojna, rozrzutna i wspaniałomyślna, gdy szło o zrobienie drobnej przyjemności swej licznej klienteli: osobistość tak zrosła, z murami miasta, jego życiem i wypadkami na codzien i od święta, że stała się jakby jego organem, nieodłączną częścią

H. S.

#### KOBIETY Z AFRYKI POŁUDNIOWEJ.

Kobiety - obywatelki kolonij angielskich w Afryce południowej, nie mają dotychczas równouprawnienia, pomimo, że uzyskały je w Anglji, i w większości wszystkich kolonij państwa brytyjskiego. Klimat i warunki gospodarcze bardzo pomyslnie, nie zmuszają kobiety do pracy poza domem. Jest ona, jakby w średniowieczu panią i „królową“, wskutek tego mało dba o prawa polityczne i społeczne. Jednakże w ostatnich czasach sytuacja stała się już znacznie gorszą. W Cape - Town powstało dużo fabryk i kobiety przekonały się odrazu, jak brak im ochrony pracy kobiet i ochrony macierzyństwa. Przytem fatalny jest w ostatnich czasach stan higieny społecznej — brak szpitali dla dzieci i zakładów położniczych. Te realne potrzeby pchnęły naprzód daleko szybciej od doktryn ruch kobiecej. Kobiety zaczęły się zrzeszać i już w r. z. rozpoczęły energiczną walkę o równouprawnienie. I rzecz bardzo znamienna — były już bliskie uzyskania praw wyborczych. Wniesiono tylko w parlamencie poprawkę do billu, ażeby prawo głosowania miały tylko europejki, na to nie zgodziły się obywatelki miejscowe i bill upadł.

N. J.

#### PIERWSZA KOBIETA DYREKTOREM CENZURY.

Na stanowisku przewodniczącego londyńskiego Komitetu, mającego za zadanie kontrolę nad miejskimi widowiskami, powołana została miss Rosamund Smith, pierwsza kobieta - cenzor w dziejach Country Council — czyli Rady Hrabstwa.

Od szeregu już lat Miss Smith pełniła funkcje parlamentarnej sekretarki Narodowej Rady Kobiecej w Anglji, jak również należała do licznych Komitetów, zajmujących się sprawami kobiecymi.

Stanowisko głównego cenzora teatrów, kinoteatrów i wszelkich widowisk w tak olbrzymim mieście, jakim jest Londyn — musi być stanowczo uznane za bardzo ważne i odpowiedzialne.

Miss Smith jest jednak pełna zapału i odwagi i pragnie dowieść na każdym kroku, że kobieta roztropna i mądra potrafi spełniać tak samo dobrze, jak mężczyzna, powierzone sobie zadanie.

Podczas wywiadu, udzielonego przedstawicielom prasy, zaznaczyła, że, przedewszystkiem, pragnie zabezpieczyć wszystkie sale teatralne, kinowe i koncertowe w Londynie od niebezpieczeństwa pożaru.

Następnie, nie ma wcale zamiaru być zbyt surową przy cenzurowaniu filmów, byłaby to, bowiem, owa śmieszna prudencja kobieca; natomiast... gdyby miała kompetencje do kontrolowania nocnych klubów londyńskich, to uważa, że tam właśnie przydałaby się bardziej surowa kontrola...

H. S.

#### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Biruta. — Redakcja czyta wszelkie nadesłane rękopisy, utwory więc Szanownej Pani nie będą stanowiły wyjątku. Ni gdy też nie odmawiamy prośbom o ocenę.

P. J. Szyr. — Białystok. — Utwory do druku się nie nadają.

 <p><b>PROSZEK „KOGUTEK”</b> DLA DOROSŁYCH USUWA NAJUPORCZYWSZY <b>BÓL GŁOWY</b></p>	<p>CHCĄC NABYC PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAĐAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GĄSECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ŻWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE UPORCZYWIE POLECANE. NAŚLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.</p>
--	--



## MAŁŻEŃSTWO

Soyez comme l'oiseau, posé pour un instant  
 Sur des rameaux trop frêles,  
 Qui sent plier la branche et qui chante  
 pourtant,  
 Sachant qu'il a des ailes...

Victor Hugo

Od szeregu miesięcy na łamach „Bluszczy” wypowiadają się Czytelniczki w nowootworzonym dziale „Nasza Mównica”. Kto, czytając ich słowa, wczuwa się w głębię uczuć i myśli, musi nie tylko schylić głowę przed wysokim poziomem kobiety-polki, ale i uwierzyć w szpiżową moc narodu, którego wychowawczyniami są jednostki o tak poważnych wartościach intelektualnych, szerokim horyzoncie myślowym i głęboko zakorzenionym humanitaryzmie.

Wszystko to, co nam przynosi „Mównica”, czyta się nie tylko oczami i mózgiem, ale sercem, wezbranym dumą i radością, sercem ufnym w lepszą przyszłość, pod którą fundamenty kładą dłonie rozumne, wytrwałe, dobre i pełne poczucia obowiązku.

W chwilach najściślejszego duchowego kontaktu z korespondentkami „Mównicy” jakże łatwo zapomnieć, że obok nich kroczą jeszcze przez życie „Pani” Kornela Makuszyńskiego i całe zastępy „Koteczek” Rygier-Nalkowskiej, i że, niestety, jest ich i będzie legjon w każdym społeczeństwie — legjon, uprawniający do odzwierciedlania typów ujemnych i małych, cyzelowanych piórem mistrzów myśli i słowa, gdy o tych innych mówi się tak mało!

Stworzenie działu „Nasza Mównica” powinno i musi zapisać się złotymi zgłoskami w dziejach wydawniczych „Bluszczy”. Mównica jest, bowiem, niby ta urodzajna, rośna grzęda, którą zaścielają najpiękniejsze kwiaty nie tylko uczuć i myśli, ale i doskonałej formy i pięknego, jędrnego stylu, i niezależnie od tego, w czyj sercu i umyśle narodziła się idea, zgodzimy się, sądzę, wszystkie — zarówno przemawiające za jej pośrednictwem, jak i czytające te pulsujące życiem słowa — na twierdzenie, że dokonania się rzecz wielkiej wagi, która w rozwoju i życiu kobiet myślących odegrać musi poważną rolę.

Wśród wielu tematów, poruszanych na łamach „Mównicy”, nie spotkałam bezpośredniego wglębnia się w istotę małżeństwa, które w dzisiejszej dobie podstawowej ewolucji życia tak poważne, niebezpieczne i ważne przechodzi wstrząsy.

Prócz przejściowych zahaczeń, zahaczeń, wpływających z poruszania tematów ogólnouczuciowych, ta z palących najbardziej paląca sprawa leży dotąd odłogiem. Nie sądzę, aby przyczyną tego miał być brak istotnego zainteresowania, lub bagatelizowanie najdonioślejszej ze spraw — sprawy normalnej, zdrowej fizycznie i duchowo, a przez to samo szczęśliwej, rodziny; łatwiej uwierzyć, że zagadnienie to w oświetleniu chaosu powojennego, z którego rodzą się nowe formy i nowe prawa, jest bodaj naj-

trudniejszym do racjonalnego ujęcia i oświetlenia pod kątem sprawiedliwym.

Jest jeszcze, niestety, poważny zastęp ludzi, którzy nie chcą widzieć i nie chcą rozumieć, jak wiele zmieniło się w ostatnich latach. O ważkości tych zmian niechże im zaświadczy znamieny fakt usunięcia z przysięgi małżeńskiej „posłuszeństwa”, które narówni z wiernością zobowiązywało żonę aż do grobu, i wszystkie poprawki oraz reformy, jakim poddano paragrafy prawa cywilnego, dotyczące praw kobiety zamężnej.

Panie, interesujące się tą kwestją, znajdują szczegółowe jej omówienie w artykule p. J. Jezierskiej „Stanowisko obywatelki w wolnej Polsce” (Nr. 46 „Bluszczy” — 10 listopada 1928 r.). Całokształt ujęcia tej sprawy świadczy aż zanadto, że dla małżeństwa, nieodbiegającego od typu przedwojennego, na powierzchni życia dzisiejszego niema już miejsca.

Nie wolno nam jednak patrzeć na tę metamorfozę, jako na zadośćuczynienie za długoetlną niesprawiedliwość jedynie; jest ona, bowiem, nadaniem praw jednostkom, które społeczeństwo uważa za godne podźwignięcia całego ciężaru odpowiedzialności, jaką na ich barki składa. Impulsem reform jest docenienie faktu, że kobiety dorosły do roli, jaką im wyznaczono; że zdały egzamin dojrzałości na polu nauki, sztuki, pracy zawodowej, walki o byt, w życiu społecznym i budowie państwowości. Jednakże to uznanie nie powinno upajać nas ani na chwilę; jesteśmy za ledwie na początku drogi, a im większe prawa, im większe zaufanie i sprawiedliwość, tem poważniejsze są obowiązki. Przeto wszystkie uzyskane przywileje muszą budzić w nas — narówni z radością i dumą zadośćuczynienia — pełną skupienia powagę, jaką daje poczucie odpowiedzialności.

Wnikając do głębi w istotę małżeństwa, musimy z konieczności rozróżniczkować dwa zasadnicze elementy: element rozumowo-praktyczny i uczuciowy. Trudno zaprzeczyć, że małżeństwo, zbliżone do ideału, musi uwzględnić tak jeden, jak drugi; w przeciwnym razie stanie się czemś nienormalnym, zniekształconym i prowadzącym do ruiny życiowej. Małżeństwo, zawarte jedynie na podstawie rozumnego wyrachowania, któremu za podstawę służą doskonale rozróżniczkowane „za” i „przeciw”, a pozbawione wszelkiego podkładu uczuciowego — może stać się instytucją wygodną i napozór pewną przystanią życiową; trudno jednak zaprzeczyć, że w danym wypadku na uczciwe dotrzymanie wszelkich wziętych na siebie zobowiązań mogą zdobyć się tylko istoty zimne, wygasłe, które jedynie dobrobytowi i stanowisku biją pokłony.

Zdarza się wprawdzie, że tego rodzaju stadła idą przez życie zgodnie i spokojnie, przywiązują się do siebie szczerze i tworzą parę dobrych, wiernych i uczciwych przyjaciół. Są to jednak przejawy rząd-



kie. Naogół natura upomina się o swoje prawa i, podług Horacjusza, „Wypędzona widłami — wraca w szybkim pędzie“, a wtedy pozostaje albo wieczysta męka w imię honorowego spełnienia obowiązku, albo porwanie pęt i to najczęściej dla złudy.

Aczkolwiek trudno zaprzeczyć, że związek, zawarty bez poważnego i głębokiego zastanowienia, które musi być uwzględnione nawet tam, gdzie żywe tętno rozkochanych serc zagłusza głos rozsądku, jest rodzajem gry hazardowej, postawieniem życia na jedną kartę — to małżeństwo, wyrozumowane jedynie, musi być dla ludzi, zdrowo i normalnie czujących, czemś potwornym, samoofiara, noszącą w sobie podświadomy zarodek nieuniknionych sprzeniewieżeń.

Harmonijne współzycie jest, niestety, przejawem rzadkim, a w ostatnich czasach — coraz radszym. W czym szukać przyczyny tego zaostrzającego się z dnia na dzień rozdzwiewku? Nie chciałabym być źle zrozumianą, a tem więcej pomówioną o stronny sąd, jednakże, jako jedyne rozwiązanie, nasuwa mi się przeświadczenie, że kobiety dzisiejsze wyrosły ponad poziom dawnego małżeństwa — mężczyźni nie dorosli jeszcze do pogodzenia się z nowym prawem rzeczy. I z tego wypływa rozdzwiewek, zaostrzający się z biegiem lat; podłoże wszelkich zgrzytów, goryczy i zobojętnienia; duchowe oddalenie; chłód i pustka; przepaść, której wypełnić niema czem z chwilą, gdy się oceni jej zawrotną głębię.

Od powyżej wygłoszonego przekonania daleko jednak do twierdzenia, jakobyśmy miały prawo uważać się za pewnego rodzaju doskonałości, czego najlepszym dowodem, że, jak dotąd, wiele z nas nie umie przystosować praktycznie walorów, z jakimi wchodzimy w życie; że stają się one w pożytku z człowiekiem, nieraz szczerze kochanym, czynnikiem raczej ujemnym, niż dodatnim, a zamiast przyczynić się do utrwalenia węzłów, rozluźniają je, wbrew napozór wszelkiej logice rozumowej.

Jednakże przy bliższem zastanowieniu łatwo dojdziemy do wniosku, że prosty fakt wniesienia ze sobą w krąg życia rodzinnego takiej a takiej sumy realnych wartości nie wystarczy sam za siebie. Wartości te trzeba jeszcze umieć przystosować do życia i zużytkować w sposób subtelny, nienarzucający się, nieprzejaskrawiony — w sposób, który każe je cenić i doceniać, jednak nie zadrażnia w niczem tak bardzo czulego autorytetu mężczyzny. Autorytet ten jest, bowiem, najczulszą struną jego „ja“, urabianego przez długie wieki, tego podświadomego „ja“, które — wbrew rozumowi, poczuciu sprawiedliwości i nieraz nawet bardzo szlachetnej lojalności — bierze górę i zwycięża! Dopóki z nowych form życia nie wyłoni się nowy typ mężczyzny, tak, jak już się kształtuje nowy typ kobiety — z tym męskim autorytetem musimy się liczyć i ochraniać go w imię wspólnego dobra, szczęścia i spokoju!

Wanda Dobrzańska.

## HISTORJA TALERZA

Talerz — ten sprzęt obecnie niezbędny niemal na każdym stole — przez długie czasy był nieznan i urodził się, w swym teraźniejszym kształcie, względnie niedawno.

Początki jego były skromne. Duże plastry czerstwego chleba, rozłożone na blasze metalowej lub desce drewnianej, służyły jako podstawa pod kawały mięsa, nierzadko sosem ociekające. Płynne zaś potrawy podawano w miskach cynowych, glinianych lub drewnianych, pokrytych często ordynarną polewą.

Dom był dostatni, jeżeli jedno takie naczynie służyło tylko dwóm osobom przy stole. Gdzie skromniej było, stawiano jedną wielką miskę pośrodku, skąd współbiesiadnicy czerpali jedzenie drewnianymi łyżkami. Inne zresztą łyżki nie były jeszcze wtedy znane.

Takimi były zwyczaje, niegdyś, we Francji, tej klasycznej ziemi wszelakiego wykwintu, skąd wzory pięknych form rozchodziły się na wszystkie strony. Zatem i w innych krajach lepiej być nie mogło i nie było.

Dla człowieka nowoczesnego, przyzwyczajonego do zasiadania przy nakrytym stole, zastawionym odpowiednio, taka prostota wydaje się wprost niemożliwą. Możemy sobie wyobrazić jeszcze coś podobnego wśród rycerzy średniowiecza, dla których wyprawy wojenne stanowiły cel życia i stąd prymitywność obyczajai była koniecznością; ale człowieka renesansu; tego obywatela światłego i rozkochanego w pięknie, nie możemy sobie wystawić, żyjącego w podobnych warunkach.

A jednak tak było. Nóż myśliwski i palce ręki zastępowały nieznanie sztuce, talerz zaś ukazał się dopiero w początkach drugiej połowy XVIII wieku, ale jeszcze jako zbytek, dostępny tylko dla nielicznej warstwy.

Zato królowie i księżęta kochali się od najdawniejszych czasów w bogatych zastawach. Ze szczerego złota i srebra były ulane ich naczynia stołowe, a możność posiadania takich bogactw uważali niemal za swój przywilej.

Rozmiłowany w zbytku Karol IV posiadał serwis, składający się z olbrzymiej ilości sztuk, a mianowicie: siedemnaście tuzinów półmisek złotych i sześć tuzinów takichże misek; 33 tuziny srebrnych półmisek białych lub złoconych i 51 tuzinów misek srebrnych, również białych lub złoconych. Dodać tutaj trzeba niezliczoną ilość garnuszków, garnków, słoików, kubków, a szczególnież wspaniałe nieraz dzbanki i roztruchany.

Możnowładcy, idąc za przykładem swych monarchów, zacpatrywali się też w takie rzeczy, wiele się tylko dało. Najczęściej był to ich łup wojenny.



Gdy zaś udawali się na wyprawę lub jechali w drogę, zwykle zabierali ze sobą te kosztowności, stanowiące często główną część ich majątku. A niezawsze było bezpiecznie pozostawić je w domu.

Filip Piękny, chcąc ograniczyć zbytek, szerzący się wśród podwładnych, wydał edykt, którego mocą dopiero przy pewnym dochodzie można było posiadać podobne zastawy. Dochód oznaczony był ilością, równającą się, mniej więcej, obecnym 50.000 frankom rocznie.

Łatwo się domyślić, że ci, co przekraczali nakaz bronili się przed konfiskatą i że to było źródłem wielu rozterek i buntów.

W końcu XV w. ukazały się we Francji pierwsze miski z ceramiki, sprowadzone z Włoch, będących w Europie kolebką tej fabrykacji. Zaczęto je również wyrabiać na ziemi francuskiej, ale z początku były one rzadkością i rozpowszechniły się dopiero w XVIII wieku. W tym czasie powstały liczne fabryki fajansów: w Nevers, Rouen, Lunéville, a wkrótce potem i wytwórnie porcelany. I wtedy to ukazał się talerz, w tym kształcie, w jakim znamy go obecnie.

U nas, w Polsce, szło pod tym względem mniej więcej tym samym trybem. Na miskach cynowych jadali nasi praojcowie — zwykła szlachta po folwarkach i mieszkańcy miast. Z gliny zaś i drzewa wyrabiane były naczynia, używane w zagrodach włościańskich.

Największym zbytkiem w zastawach wyróżniało się dawne, bogate mieszczaństwo krakowskie, a kroniki przekazały nam opis wspaniałości Wierzykowej uczy.

W XVII wieku ci, co jeździli po światło do Włoch, przywozili stamtąd okazy włoskiej ceramiki. Naśladując te wzory, zaczęto już wtedy wyrabiać fajanse w Ilży, lecz w niewielkiej ilości — tak, że były one rzadkością — pańskich siedzib ozdobą.

Pierwszy u nas talerz porcelanowy wyszedł z Korca, fabryki porcelany, założonej na wielką skalę przez Czartoryskich na Wołyniu, koło Zwiąhla. Wyrabiała je również założona wkrótce, też na Wołyniu, Baranówka.

Oba te zakłady wypuściły dużo pięknych rzeczy — śliczne talerze, ręcznie malowane — przeważnie wiązanki z kwiatów. Były to rzeczy ozdobne i cenne, prace artystów, biegłych w swym kunszcie. Zaopatrywały się w nie domy magnackie, bogata szlachta i zamożne mieszczaństwo.

Dopiero fabryka w Ćmielowie udostępniła te wyroby. Z początku była to fabryka garncarska, założona w XVIII stuleciu, w początkach XIX wieku przerbiona przez Małachowskiego na wytwórnię porcelany. Korzystając z postępów techniki, zaczęto w niej wyrabiać talerze — porcelanę wogóle — zdobiąc ornamentem drukowanym. Fabrykacja szła masowo. Talerz się zdemokratyzował, stał się sprzętem powszech-

nego użytku i wyparł miskę, przynajmniej ze środowiska więcej kulturalnego.

Pozostała ona jednak w zagrodach włościańskich. Talerze, po dziś dzień jeszcze, są w niej tylko dekoracją. W kwiaty malowane, przeważnie zdobią półki na ścianach — miskę zaś z jedzeniem stawia się na stole.

To stanowisko zachowała, zapewne, wskutek zbyt małej objętości talerzy względnie do apetytu ciężko przy ziemi pracującego włościanina.

H. Michalecka.



## JESZCZE O NAUCE GOSPODARSTWA DOMOWEGO DLA KOBIET Z INTELIGENCJI

Od lat paru poruszana przezemnie na łamach „Bluszczu“ i „Kurjera Warszawskiego“ sprawa nauki gospodarstwa domowego dla kobiet z inteligencji — nakoniec doczekała się, jeżeli jeszcze nie rozwiązania, to przynajmniej pchnięcia jej naprzód.

Pierwszym krokiem, zrobionym w tym kierunku, był zorganizowany przez Radę Naczelną gospodarczego wykształcenia kobiet, wraz z Sekcją Gospodarstwa Domowego przy Instytucie Naukowej Organizacji — sześciotygodniowy kurs gospodarstwa domowego, doskonale opisany przez p. Karczewską w Nr. 6 „Bluszczu“. Kurs ten, prowadzony przez pierwszorzędne siły fachowe, dał słuchaczkom tyle wiadomości teoretycznych i praktycznych, że trzeba było nielada wytrwałości, nielada sił fizycznych i umysłowych, aby opanować i przyswoić sobie tak bogaty i różnorodny materiał w tak krótkim przeciągu czasu. I słuszną robi uwagę szanowna autorka artykułu, że kurs ten, tem silniej uwidatnił potrzebę stałej placówki, nauki gospodarstwa domowego, czyli szkoły, mającej własne pomieszczenie i urządzenia, stojące na poziomie współczesnych wymagań, oraz stały personel nauczycielski, doskonale przygotowany i uzdolniony. Od siebie pozwolę dodać — i program doskonale przemyślany, nie przeładowany przedmiotami o szumnych nazwach, lecz dostosowany do rzeczywistych, praktycznych potrzeb życiowych, nie wymagający dużego wysiłku do objęcia go i przyswojenia — gdyż szkoła taka długo jeszcze kształcić będzie kobiety dorosłe, pracujące zawodowo na innych polach, oddające się studjom w wyższych zakładach naukowych lub mające już własne domy i rodziny, które nie mogą, dla braku odpowied-



nich wiadomości, zadaniom gospodyni domu podać. Gdyż, jeśli nawet zostanie nareszcie uwzględniona nauka gospodarstwa domowego w średnich zakładach naukowych, to przejdą jeszcze lata, zanim wychowanki tych zakładów zaczną wiadomości nabyte stosować w swoich gospodarstwach — czyli długo jeszcze będą potrzebne szkoły i kursy, prowadzone przez instytucje prywatne.

Chodzi tylko o to, kto takie szkoły i kursy ma zakładać. Nie można polegać zanadto na inicjatywie osób prywatnych. Szkoła prywatna zawsze być musi obliczona na zysk, jaki ma przynieść. Dzisiejsze warunki mieszkaniowe są takie, że za sam lokal na szkołę trzeba zapłacić kilkadziesiąt tysięcy, a drugie tyle nieomal pochłonie przystosowanie lokalu do potrzeb szkoły, sprzęty, narzędzia, naczynia i inne konieczne inwestycje. Nauka gospodarstwa z natury rzeczy nie może być wykładana dużej naraz ilości słuchaczek. Co najwyżej wykłady teoretyczne mogą być wygłaszane wobec większej ilości uczennic. Wszelkie zajęcia praktyczne mogą być prowadzone tylko z małymi ich grupami, ażeby każda nie tylko widziała, jak się to lub tamto robi, lecz własnymi rękami to lub tamto przerobiła.

Przy nauce gotowania powstaje jeszcze pytanie: co robić z przygotowanymi potrawami? Szkoła prywatna musi je zbywać w jakiejś własnej lub cudzej jadłodajni, co zawsze ujemnie wpływa na jakość tych potraw, gdyż są one wówczas przyrządzane masowo i oszczędnościowo — to ostatnie jest wprawdzie dużą zaletą — lecz na smak rzadko dobrze wpływa. Jedynym, praktycznym wyjściem jest spożywanie wykonanych przez siebie potraw przez słuchaczki — system ten jest przyjęty we wszystkich szkołach czeskich i u nas w szkołach gospodarstwa przy szkołach powszechnych. Bo, choć pod tym względem, jak i pod wielu innymi, upośledzona jest u nas inteligencja — szkoły powszechne mają, i to bardzo dobrą, naukę gospodarstwa domowego i szycia, czego szkoły średnie zupełnie są pozbawione:

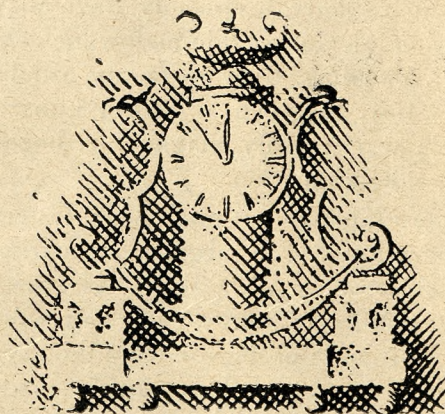
Pozostaje więc otwartą kwestja, kto takimi szkołami i kursami ma się zająć. Mamy trzy organizacje kobiece, pracujące dla sprawy gospodarczego wykształcenia kobiet. Rada Naczelna gospodarczego wykształcenia kobiet, która już położyła ogromne zasługi na tem polu, tworząc za pośrednictwem zjednoczonych ziemianek i Centralnego Tow. Rolniczego, sieć szkół na prowincji i kursów ruchomych dla włościanek. Jest ona jednak centralą dla wszystkich związków, pracujących dla gospodarczego wykształcenia kobiet, i z natury rzeczy sama może tylko dawać kierunek, popierać pracę związków, do niej należących, lecz nie prowadzi szkół poszczególnych. Sekcja Gospodarstwa Domowego przy Instytucie Naukowej Organizacji Pracy ma rozległe pole szerzenia wiadomości teoretycznych, przeprowadzania badań nauko-

wych, wprowadzania najnowszych metod. Zadania te ułatwia jej własny organ prasy — doskonale redagowany miesięcznik „Organizacja Gospodarstwa Domowego”. Instytucja ta powinna się starać wykorzystać rezultaty prac innych stowarzyszeń kobiecych, o celach czysto praktycznych. Takim stowarzyszeniem o zadaniach tylko praktycznych jest trzeci rok istniejące w Warszawie „Koło Studjów Gospodarstwa Domowego”. Założone przy Zjednoczonych Ziemiankach z inicjatywy p. Aleksandry Grzybowskiej, ma jednak za zadanie pomoc paniom, zamieszkałym w mieście. Mam nadzieję, że intensywna praca jego członkiń, które już owocnie pracują w szeregu sekcji, zachęci gospodynie innych miast do zakładania takichże Kół, dla których Koło warszawskie, jako najstarsze i posiadające pewne doświadczenie, przez trzy lata istnienia nabyte, byłoby centralą.

Sądzę, że zakładanie szkół i kursów w pierwszym rzędzie należałoby do takich Kół. Nie rozporządzają one wprawdzie żadnymi środkami materialnymi, lecz, jestem przekonana, że znajdą poparcie, zarówno w Ministerstwie Oświaty, jak i u władz miejskich, i że ten kurs trzymiesięczny, który w najbliższych dniach w Warszawie zostanie otwarty (w kuchni jednej ze szkół powszechnych) — będzie zapoczątkowaniem całego szeregu takich kursów w przyszłym roku szkolnym. Dalej może przyjdą szkoły, przeznaczone wyłącznie na naukę gospodarstwa kobiet z inteligencji, i wielka stacja doświadczalna, prowadzona oczywiście przez Sekcję Gospodarstwa przy Instytucie naukowej organizacji, lecz przy najściślejszym współdziałaniu praktycznych gospodyń — członkiń K. S. G. D.

W Niemczech, gdzie takie Koła Gospodyń już dawno wywalczyły prawo bytu, żadna pani nie kupi narzędzi lub chociaż garneczka bez napisu: „Vom Hausfreuverein geprüft und zum Gebrauch empfohlen“ (wypróbowane i polecane do użycia przez Stowarzyszenie gospodyń) — a my wciąż kupujemy graty niepraktyczne, bo są szeroko reklamowane lub — bo są tanie!

Pani Elżbieta.





## PARĘ UWAG O WIOSENNEM SADZENIU RÓŻ

Z nastaniem pierwszych cieplejszych promieni słońca budzi się w nas zapal do pracy w ogrodzie, do przygotowania sobie „raju kwiatowego“ na całe lato. Każdy miłośnik ogrodu ma swoje, specjalnie upatrzone, ulubione kwiaty, każdy ma swoje odrębne upodobania; jednak wszyscy godzą się na to, i to już odkąd historia zapamiętać może, że róża jest najpiękniejszym kwiatem i zawsze ją specjalną pieczołowitością otaczają. Róża — królowa kwiatów, piękna, wyniosła, wypieszczona, dokoła swój czar rozciągając — jest nie dla każdego dostępna i, jak prawowita monarchini, niezwykle wymagająca. Nie ona nagina się do życia swego hodowcy, lecz jego zmusza do spełniania wszystkich jej warunków, a gdy to osiągnie, wtedy dopiero hojnie go swym czarem obdarza; w przeciwnym razie tylko wegetuje marnie i szybko zamiera.

Jakież są jej warunki? — Przedewszystkiem czas, potem wybór miejsca i gleby.

Czas sadzenia wiosennego — to marzec i kwiecień.

Róża nie lubi miejsc specjalnie słonecznych, ani specjalnie zacienionych: we wszystkim musi być utrzymana miara (jedynie gatunki róż herbacianych znoszą dobrze nadmiar słońca); woli przestrzenie szersze, gdzie więcej powietrza, ale chronić ją trzeba przed silnymi wiatrami; dobrze więc będzie, jeżeli od strony północnej znajdzie się jaka ściana, czy to budynku, czy szczelne oparkanie, czy wreszcie grupy gęstych drzew. Unikać trzeba sadzenia róż na pochylnościach, ku południowi zwróconych.

Prędzej już poradzić sobie można z glebą, gdyż ta da się dowolnie doprawić, choć to jest rzecz uciążliwa i często kosztowna. W tym celu dla każdego krzaku róży wykopać musimy dołek — 1 m. szeroki, 80 cm. głęboki — i ziemię wyjętą odpowiednio doprawić, t. j. dodać brakujące części składnikowe, lub wogóle zamienić ją inną.

Najlepiej róże udają się na ziemiach gliniastych, przepuszczalnych, z lekką domieszką wapna.

Na gruntach piaszczystych dodać musimy gliny, próchnicy, miału torfowego (zawsze uprzednio zwilżonego); dobrze też działać będzie domieszka kompostu. Tego rodzaju ziemię powinno się zasilać nawozami płynnymi, często podlewać oraz skrapiać obficie sam krzak, aby go ustrzec przed pasożytami, które specjalnie lubią róże, rosnące na ziemiach lekkich.

Ziemię ciężkie wymagają przedewszystkiem zdrenowania; o ile niemożliwym jest przeprowadzenie zwykłych dren odwadniających, to w każdym razie trzeba spód wykopanego dołka założyć kamieniami na 90 cm. głębokości. Wyjętą ziemię dopra-

wiamy wapnem niegaszonym, grubo ziarnistym piaskiem i miałem torfowym. Na gruntach takich róże rosną b. szybko i silnie, ale pielęgnowane muszą być z zupełnie specjalną starannością, szczególnie doskonale okrywane na zimę, gdyż nadmierny rozrost daje moc młodych pędów (gałązek), które niezawsze zdążą przed zimą nabrać odpowiedniej siły i odporności i często podczas większych mrozów giną.

Ziemię z dużą zawartością wapna nadają się do hodowania róż, lepiej jednak i tu zmieszać je z próchnicą i sumiennie pilnować stanu wilgoci. Na takich ziemiach nie wolno dopuścić do zbytniego zeschnięcia.

Najmniej odpowiedni i dużego nakładu pracy i cierpliwości wymagający jest grunt torfiasty. Tu dołki musimy głęboko przekopać i albo dodać gliny, piasku, wapna i czekać przynajmniej dwa lata, aż to wszystko doskonale się uleży, albo całe dołki zapelnąć odpowiedniejszą, nawiezioną ziemią.

Sprowadzając róże z odleglejszych miejscowości, trzeba zwrócić baczną uwagę, w jakim stanie nadeszły: jeżeli pakunek jest cały przemarznięty, wstawiamy go do chłodnej piwnicy bez odwijania i czekamy, aż sam rozmarznie, poczem dołujemy róże na dworze, jak zwykle drzewka, czy krzewy. Często otrzymujemy róże przysuszone, co rozpoznajemy po zmarszczonej korze; należy je czempredziej rozpakować, wykopać dołek, długości nadesłanych krzaków, 30 cm. głęboki, ułożyć je tam, nakryć ziemią i parę razy dziennie obficie wodą zlewać. O ile jeszcze życie w nich nie zamarło, po kilku dniach wróci im naturalny kolor i odżyją.

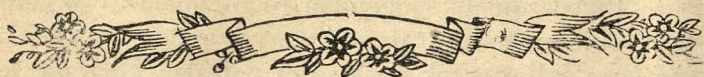
Przed samym sadzeniem (wiosennem -- jesienią tego robić nie należy) przycinamy koronę, pozostawiając parę tylko oczek na każdej gałązce; korzenie też skracamy i cały krzak zanurzamy w gęstym, gliniastym błocie z niewielką domieszką gnojówki. Jeżeli sadzenie trafia na suchą porę, dobrze jest jeszcze pień cały okręcić mchem i często go zwilżać. Krzaki róż sadi się trochę głębiej od innych drzew, a to z tego względu, że w głębi więcej jest wilgoci, co róże bardzo lubią, a w jesieni przed zimochowem łatwiej je naginać. Najważniejszym warunkiem prawidłowego sadzenia i rękojmią dobrych rezultatów przyszłych jest konieczność zwrócenia baczonej uwagi, aby umoczone w błocie korzenie nie zaschły w trakcie sadzenia. Jeżeli słońce silnie grzeje dnia tego, trzeba przygotowane do sadzenia rośliny trzymać w cieniu, a nawet matą słomianą je okryć. Korzenie powinny być nie tylko ziemią zasypane, ale dokładnie nią przesypane i ręką ugniezione, a dopiero po zapelnieniu całego dołka nogą udeptane i obficie podlane. Gdy woda całkowicie wsiąknie, przysypujemy jeszcze świeżej ziemi, aby zapobiec zeschnięciu się i pękaniu wierzchniej warstwy. Do słupka przywiązujemy róże dopiero po upływie kilku dni.



Na ziemiach dobrych zasilać nie należy często, bo przez to więcej szkody, aniżeli dobra moglibyśmy przyczynić. Trzeba bacznie obserwować i znać swoje rośliny, żeby wiedzieć, kiedy je podkarmiać. Gdy kwiatów ukazuje się coraz mniej, a liście jaśnieją—to znak wyczerpania rośliny i wtedy szybko musimy jej przyjść z pomocą. Lepiej jednak zapobiec temu wcześniej, nie dopuszczając do zbytniego osłabienia. Nawozy zwierzęce są dla róż najbardziej wskazane i najodpowiedniejsze. Używane w stanie suchym, muszą być niezupełnie świeże; rozkładamy je naokoło rośliny, a podlewając codziennie, dostarczamy jej stale pożywnych składników. Niemniej dobry jest nawóz płynny, t. j. nawóz krwi, zalany większą ilością wody (1 część nawozu na 7 części wody) w beczce, czy w innym jakim naczyniu, odstały, od czasu do czasu przemieszany; takim podlewamy raz na tydzień, zawsze przed wieczorem. Z nawozów sztucznych najgodniejszą polecenia jest mączka rogowa; sypiemy jej dobrą garść pod każdy krzak, mieszając z ziemią, lub nawet płytko przekopując, i normalnie czystą wodą podlewamy. Działanie jej jest równe, długotrwałe, gdy inne nawozy sztuczne wywołują szybką reakcję, lecz krótkotrwałą.

Pamiętać należy, że, począwszy od drugiej połowy lipca, tak z nawożeniem, jak i z podlewaniem trzeba się ograniczyć, aby powstrzymać rośliny od zbytniej wegetacji przed zimą.

Oto wszystko, czego róże od nas wymagają (przez sezon wiosenny i letni). Jeśli potrafiemy zrozumieć ich potrzeby, jeśli im wszelkie wygody zapewnimy — możemy być pewni ich wdzięczności. A. D.



## CHOLERA DROBIU

Leczenie drobiu jest bardzo kłopotliwe i często się nie oplaca. Łatwiej w hodowli zapobiegać chorobom ptactwa przez higieniczne utrzymanie kurnika, przez racjonalne żywienie i wychów drobiu, niż leczyć chore sztuki.

Chcąc mieć drób zdrowy, należy przestrzegać czystości kurników, nawóz codziennie uprzątać, ściany, a zwłaszcza podłogę i grzędy bielić jaknajczęściej. Dawać zawsze świeżą karmę i wodę w czystych korytkach i poidełkach.

Bardzo często przenosi nam epidemję drób, świeżo sprowadzony do kurnika z innej hodowli lub z targu. Powinniśmy więc zawsze przestrzegać tego, aby drób nowozakupiony trzymać przez kilka dni oddzielnie, a dopiero, gdy dokładna obserwacja wykaże, iż ptaki są zupełnie zdrowe, można je umieścić w kurniku. Tak samo należy postępować z własnym drobiem:

o ile był wywożony na targ, lub na wystawę, to przed powtórne umieszczeniem w kurniku powinno się go na jakiś czas izolować.

Najgroźniejszą i najtrudniejszą do zwalczania jest cholera drobiu, która dziesiątkuje nasze ptactwo. Na cholerę drobiu padają nie tylko kury, ale indyczki, kaczki, gęsi i inne ptaki. Tylko młode sztuki do 3-4 miesięcy są zwykle odporne.

Z chwilą, gdy epidemja wybuchnie w kurniku, hodowca jest obowiązany zawiadomić o tem najbliższą władzę administracyjną; traci też prawo sprzedaży, lub wysyłania drobiu.

Cholerę drobiu powoduje mikroskopowy zarazek „bacillus avisepticus“. Jest to zarazek bardzo groźny przez to, że ogromnie szybko się mnoży. Niszczą go promienie słoneczne i środki dezynfekcyjne, silnie alkaliczne, na które jest mało odporny. Znajdujemy ten zarazek wszędzie, nawet w organizmach zdrowych ptaków, — nadmierna jego ilość powoduje chorobę. Cholera drobiu w rzadkich wypadkach występuje w hodowlach sporadycznie, zwykle drób choruje masowo. Ptaki zarażają się bardzo łatwo, dziobiąc kał zarażonych sztuk, lub zanieczyszczoną karmę, gdyż największa ilość bakterij znajduje się w kale chorego drobiu. Najlepszym, a właściwie jedynym sposobem zwalczania choroby jest czystość i dezynfekcja. O ile wiemy, że w pobliżu panuje zaraza, nie powinniśmy drobiu wypuszczać poza obręb kurnika i okólnika, przeznaczonego dla ptactwa. A w tych miejscach, w których drób trzymamy, należy przeprowadzić bardzo staranną dezynfekcję. Zdezynfekowanie kurnika polega na mechanicznem oczyszczeniu i odkażeniu środkami chemicznymi. Wszystkie drewniane części urządzenia należy wyszorować, słomę i plewy, znajdujące się w kurniku, usunąć i spalić. Cały budynek pobielić świeżo lasowanem wapnem (przedewszystkiem podłogę, grzędy). Najlepszymi środkami dezynfekcyjnymi, oprócz wapna, są: roztwór kreoliny 3—4%, roztwór lizolu 3—5%, roztwór kwasu karbолоwego 2—5%, lub 10—15% ług sodowy. Ługu sodowego używamy zwykle do szorowania, a pozostałe środki dezynfekcyjne najczęściej dodajemy do wapna. Przy dezynfekcji należy pamiętać o wietrzeniu budynku. Okólnik należy przekopać lub przeorać, sypiąc obficie wapnem.

Jeśli, mimo tych środków ostrożności, zaraza u nas wybuchnie, sztuki zdrowe należy natychmiast oddzielić od chorych, lub zdradzających objawy choroby. Sztuki padłe należy zakopywać bardzo głęboko, zalewając wapnem, albo, jeszcze lepiej, spalając. Z chwilą, gdy kurnik nasz już jest zarażony, musimy jeszcze staranniej i dokładniej przeprowadzać wszystkie przedtem opisane zabiegi dla zdezynfekowania kurnika, a kur zupełnie na dwór nie wypuszczać. Uprzątnięcie nawozu powinno się odbywać przynajmniej 2 razy dziennie, a bielenie świeżo lasowanem



wapnem -- jaknajczęściej. Po jednorazowym, dokładnym, obieleniu budynku, wystarczy 2 lub 3 razy w ciągu dnia schlapywać wapnem grzędę, podłogi i ściany na tę wysokość, jak kura dziobem sięga. Pamiętajmy, że o ile uniemożliwimy ptakom dziobanie zakażonego kału, a więc zjadanie znajdujących się w nim bakteryj, to drób się nie zarazi. Wszelki pokarm i ziarno powinno się podawać w czystych naczyniach, a nie sypać na podłogę. Po nakarmieniu zaś ptaków resztę pokarmu uprzątnąć.

W kurniku doświadczalnym przy Zakładzie Hodowli Ogólnej Uniwersytetu Poznańskiego od kilku lat temi tylko środkami zwalcza się cholere drobiu i zawsze udało się ocalić wszystkie sztuki, mimo, że w sąsiednich hodowlach panowała epidemia i drób padał masowo. Robiono nawet takie doświadczenia, że w jednej klatce zamykano sztuki zdrowe z choremi, ale jednocześnie czuwano nad tem, aby ich kał był ciągle usuwany, a cała klatka wprost zalewana wapnem z dodatkiem kreoliny. Sztuki zdrowe nie zarażały się.

Ze sposobów leczenia, jakie bywają najczęściej stosowane, należy wymienić szczepienie surowicą uodporniającą: ponieważ jednak uzyskujemy uodpornienie tylko na 7 dni, a szczepienie jest dość kosztowne i kłopotliwe, więc zwykle ten zabieg się nie opłaca. Dobre wyniki daje zastrzykiwanie wody karbolowej w roztworze 5%-wym, w ilości od jednego do 3 cm<sup>3</sup>, zależnie od wielkości chorej sztuki. Do wewnątrz zadaje się środki dezynfekcyjne, jak kwas salicylowy, siarczan żelaza, błękit metylenowy w bardzo rozcieńczonych roztworach wodnych.

W litrze wody rozpuszczamy 3—5 gr. siarcz. żelaza, albo 1 gr. błękitu metylenowego, albo 2 gr. kwasu salicylowego i dajemy to zamiast czystej wody do picia. Oznaki, czy rzeczywiście mamy z cholere drobiu do czynienia, są następujące: o ile cholera występuje w bardzo ostrej formie, ptak nie zdradza żadnych objawów choroby i pada nagle. W łagodniejszych wypadkach obserwujemy posmutnienie i senność ptaka, biegunkę, opuszczenie skrzydeł, zwłaszcza jednego, charakterystyczne przekrzywienie głowy.

Przy sekcji sztuki, chorej na cholere drobiu, widzimy zmiany we wnętrznościach: wybroczyny krwawe na sercu, silne przekrwienie płuc, które zwykle przytem są rozdęte, ogniska nekrotyczne w wątrobie białe lub żółtawe punkciki bardzo drobne, lub wielkości grochu.

Czasami cholera drobiu, o ile nie wybuchnie w bardzo ostrej formie, przechodzi u niektórych sztuk w stan chroniczny. Ptak rzadko kiedy daje się wyleczyć, zwykle po kilku tygodniach ginie przy objawach ogólnego wyczerpania i biegunki. Przy sekcji znajdujemy wszystkie zmiany wnętrzności, charakteryzujące cholere. Forma przewlekła występuje wogóle rzadko i częściej stosunkowo spotykamy ją u gęsi i kaczek, niż u kur.

Zofja Prażmowska.



## BIGOS HULTAJSKI.

Wszelkie białe i czarne mięsa, pozostałe po święconem, lub po jakimś liczniejszym przyjęciu, pokrajać w drobną kostkę; przyczem jedno z nich musi być przerastałe: gotowana szynka lub boczek. Na kilo takiego mięsiwa wziąć dwa ogórki kiszzone i pół szklanki rosółu ogórkowego; ogórki obrać z łupinek i pokrajać w kostkę, jak mięso. Z dwóch łyżek masła i dwóch łyżek zrumienionej mąki zrobić zaprażkę, rozprowadzić litrem zimnego rosółu lub wody — w ostatnim wypadku dodać kilka łyżek sosu od pieczonych mięs lub kawałek suchego buljonu — zagotować razem. Osolić ten sos do smaku, zaostriżyć nieco pieprzem, włożyć weń mięso, ogórki i rosół z tych ogórków. Gotować razem minut dziesięć. Gdyby sos był za blady, zakolorować go karmelem. Oddzielnie zrumienić na maśle grzanki z bułki. Bigos wylać na głęboki półmisek, obłożyć wkóło grzankami i wydać na śniadanie lub kolację. Można zamiast ogórków użyć dwóch, trzech winkowatych jabłek, lub włożyć w gotowy bigos cytrynę, pokrajaną w cienkie płatki; w obu tych wypadkach sos należy zakwasić octem winnym lub sokiem cytrynowym.

## CIEŁĘCINA Z SZYNKĄ POD BECHAMELEM.

He plastrów cielęciny, tyleż przerastałej szynki. Półmisek nikłowy posmarować masłem, wysypać bułeczką, ułożyć na nim mięso, przekładając jedno drugiem, w taki sposób, aby plastry do połowy jeden na drugi zachodziły. Na kilo obu mięs razem zasmażyć dwie łyżki masła (10 deka) z taką ilością mąki (na białe), rozprowadzić litrem mleka zimnego, zagotować razem, osolić, wsypać garść tartego, ostrego sera, odrobinę pieprzu. Gdy sos nieco przestygnie, wbić weń dwa całe jaja, rozmiarować doskonale; powinien być tak gęsty, aby nie spływał z łyżki. Pokryć nim równo mięso, obsypać grubo serem z bułeczką, położyć na wierzch kilka kawałeczków masła (rozmiaru laskowego orzecha). Wstawić na kwadrans w dobrze gorący piec, aby się potrawa prędko po wierzchu zrumieniła i uformowała się na niej skórka. Podawać natychmiast po wyjęciu z pieca, aby bechamel nie opadł. Oddzielnie można podać do tego mięsa makaron, ugotowany i polany zrumienionem masłem, groszek zielony z konserwy ze świeżem masłem lub purée kartoflane.



## JARZYNKI W MUSZELKACH.

Dobre zastosowanie jarzynek, gotowanych w rosole lub w smaku na zupe. Wszelkie jarzynki, jako to: marchew, pietruszkę, por, seler, kapustę włoską, cebulę — pokrajać w kostkę. Pokrajać w kostkę tyleż ugotowanych kartofli. Na sześćdziesiąt deka takich jarzynek zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić pół litrem zimnego mleka, zagotować, osolić do smaku, zaostzyć odrobiną białego pieprzu, odstawić od ognia, dodać jarzynki, wymieszać doskonale. Napęlnić tą mieszanką muszelki. Zrumienić łyżkę tartej bułeczki w łyżce masła (bułeczkę sypać na mocno zrumienione masło — inaczej będzie blada i niesmaczna). Polać każdą muszelkę łyżeczką masła z bułeczką i podawać. Jeśli mamy pozostały kawałek ryby lub drobiu od obiadu, możemy go pokrajać drobno i dodać do jarzynek, co znakomicie polepszy smak tej potrawy.

## SZPINAK „A LA CREME“.

Szpinak, starannie przebrany i opłókaný, osączyć na płótnie i pokrajać w drobną kostkę. Na pół kilo szpinaku rozpuścić (nie rumieniąc) sześć deka masła, włożyć weń szpinak, osolić, dusić kilka minut pod pokrywą, aż straci surowiznę. Przyprószyć łyżką mąki, wlać sporą szklankę mleka lub śmietanki, zagotować raz tylko i podawać, obłożony sadzonkami jajami, omletem i t. p.

Szpinak, w taki sposób przyrządzony, ma w sobie dużo więcej witamin, niż zwykły duszony i fasowany.

Przyrządzenie jego zajmuje też znacznie mniej czasu, co nie jest do pogardzenia.

## BUDYŃ Z RESZTEK.

Czterdzieści deka różnych resztek i okruchów z babek, placków, mazurków, w których skład wchodzi mąka — połamać na kawałki rozmiaru laskowego orzecha i napęlnić tem wysmarowaną masłem i wysypaną bułeczką budyniową foremkę. Dwa jaja całe utrzeć do białości z dwiema łyżkami cukru, dodać dla zapachu trochę otartej skórki cytrynowej, rozprowadzić dwiema szklankami mleka, zalać tem ciasto. Formę zamknąć szczelnie, wstawić do rondla z wrzącą wodą (woda powinna dochodzić do połowy formy). Gotować półtorej godziny od chwili zagotowania, wyłożyć na półmisek. Podać z sosem szodonowym lub syropem owocowym.

## GRZANKI Z PLACKA.

Czerstwy placek pokrajać na równe, cienkie plasty. Połowę posmarować konfiturami, marmeladą, powidłami, tem, co mamy w danej chwili do rozporządzenia. Przykryć drugimi grzankami. Polać te grzanki, ułożone na półmisku, mlekiem, rozbitem z jajkiem (jedno jajko na szklankę mleka). Dać postać godzinę lub więcej, aby grzanki nabrzękły. Utarzać je w bułeczce i smażyć na rumianem maśle lub szmalcu. Ułożyć na półmisku, posypać cukrem-pudrem, utłuczonym z wanilią, i gorące podawać.

Pani Elżbieta.

PIERWSZY SPRAWUNEK WIOSENNY KAŻDEJ KOBIECY. TO KSIĄZKA  
DR. J. ŚWITALSKIEJ

p. t.

## „MÓJ SYSTEM PIĘKNOŚCI I ZDROWIA”

KTÓRA ZAWIERA WSKAZÓWKI HIGJENICZNE, NIEZBĘDNE W OKRESIE WIOSENNYM I LETNIM

CEŃA W OPRAWIE 15 ZŁ. Z PRZES. POCZT. 16 ZŁ.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. Nr. 13.555. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA  
ESENCJA I MYDŁO  
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).  
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FETA 16.

**HEMOROIDY** CZOPKI „VARICOL”  
HEMOROIDALNE  
USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIĘCZENIE I KRWA-  
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-  
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —  
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FETA 16.  
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNA „KOGUT”

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239.40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rybarska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## P. M. K. z Podlasia—do pań pracujących.

Spotkałam na łamach „Bluszczu“ liczne uwagi, dotyczące pracy zawodowej kobiet, i chcę dać uzupełnienia do nich. Słusznie się mówi, że uzależnić trzeba tę pracę od indywidualnych zdolności lub skłonności, lecz trzeba przede wszystkim uświadomić ogół pracowniczek, jak mają pracować. Nie mówię tu o wybitniejszych jednostkach, lecz chodzi mi o całe masy. Chcę, żeby zrozumiały, że każda praca przyniesie moralne zadowolenie i materialne korzyści, jeżeli nie będzie wykonywana mechanicznie, lecz z dodaniem pierwiastka twórczego. Wtedy i o awans będzie łatwiej i praca nasza będzie oceniana, jak się należy. Jeżeli tu i owdzie podnoszą się głosy, że praca kobiet jest wyzyskiwana, to, w większości wypadków, same jesteśmy temu winne. Bo jeżeli wyczuwamy jakieś braki w wykształceniu ogólnym lub zawodowym, czy staramy się je usunąć, choć o to tak teraz łatwo? Bądźmy szczerze i szczerze powiedzmy, że nie — chyba, że nam każą ukończyć jakiś kurs, bo od tego zależy otrzymanie lub zachowanie posady. Moje obserwacje życiowe dowiodły, że ogół pracowniczek składa się z 2-ch kategorii: do pierwszej zaliczam kobiety, obciążone rodziną, zmuszone dopomagać jej materialnie. Te „białe niewolnice“, po odsiedzeniu godzin biurowych, wracają do domu, do kieratu codziennych zajęć, nie chcąc, a często, nie umiejąc stworzyć jaśniejszego promyka, któryby rozświetlił mglistą, szarą powszedniość ich życia. Nie potrafią zastosować w życiu maksymy, którąbym chętnie wydrukowała złotymi głoskami w każdym domu: maximum pracy przy minimum wysiłku. Dlatego właśnie nie mogą uporać się z czasem i nie znajdują chwilek dla kształcenia umysłu i serca, aby wyrwać się z koła materialnych tylko potrzeb w sferę wyższą. Rozumiem i na swojej skórze doświadczam, że życie jest ciężkie, acél podobno mamy w sobie niespożyte siły, trzeba tylko je chcieć obudzić i odpowiednio zużytkować.

Jeżeli żądamy równouprawnienia, to nie możemy grzeznąć w biernej martwocie, ale musimy się z niej jak najprędzej otrząsnąć. Musimy znaleźć czas na przestudjowanie poważniejszego dzieła, na uobywatelenie się, samokształcenie. Jeżeli chcemy, żeby naszą pracę szanowano i liczone się z nią.

Do drugiej kategorii zaliczyłabym osoby, nie mające wielkich obowiązków domowych i rodzinnych, które pracują poza domem przeważnie, aby unieza-

leźnić się gotówkowo, a otrzymane pieniądze wydać na różne fatalaszki, droższe pończoszki, szminki i t. d. Wolny zaś czas od zajęć schodzi im na płytkich uciechach, które, jak pianka, spływają bez śladu z powierzchni ich życia. A życie czego innego od nas wymaga i potem mści się za bagatelizowanie głębszych jego stron. Tę naszą bierność i moralną martwość odczuwają potem dotkliwie i nasze stowarzyszenia i instytucje kobiece, do których powinnyśmy wszystkie należeć, uważając to sobie za punkt honoru.

Nie rozumiem zupełnie usprawiedliwiania się brakiem czasu: to tylko czeza wymówka, oznaka lenistwa, niedbalstwa oraz płytkiego umysłu, który nie chce objąć szerszych horyzontów i nie rozumie, ile szkody sobie przez to wyrządza.

Jeszcze raz zastrzegam się, że mówię tu o ogóle, nie o jednostkach.

Może mój sąd wyda się Wam, Kochane Czytelniczki, za ostry; z zadowoleniem przeczytam w „Mównicy“ głosy protestujące: będzie to znakiem, że tak źle nie jest. Niech przynajmniej większe miasta nam przoduja, bo w małych sytuacja jest zła.

Muszę wypowiedzieć się z goryczą, bo niedawno chciałam zebrać głosy pracowniczek do ankiety, rozsyłanej przez „Bluszcza“. Myślicie, że mi się udało? Gdzietam! Spotykałam się z odmową: „Poco mi to, co mi z tego przyjdzie!“ lub z zupełnym brakiem odpowiedzi. Dowodzi to ignorancji wszystkiego, co się koło nas dzieje. Byle tylko materialne potrzeby życiowe były zaspokojone, o resztę nie dbamy!

Z pewnością te panie poważnych ksiązek nie czytują, a jeżeli im wpadnie w rękę „Bluszcza“, to kartki rozcinają tylko na tych stronicach, gdzie są mody lub wzory do robótek.

To też w stowarzyszeniach kobiecych mało jest rąk i głów do pracy.

Dużoby można jeszcze w tej kwestji napisać, ale możeby to było za bardzo nużącym, temwięcej, że poruszyłam przykre rzeczy. Uważam, że dosyć. Oczekuję tylko zaprzeczeń, chciałabym, aby ich było jak najwięcej — będzie to dowodem, że bierność i martwota nie są tak rozpanoszone. Daj Boże!

## Częstochwianka.

Kwestją, niepokojącą każdą matkę biednej lub średnio zamożnej rodziny, jest pytanie, co począć w razie jakiegoś nieszczęścia, czy nawet śmierci, jaka spotkać może jedynego żywiciela — męża i ojca.



Kwestję tę rozstrzyga (myślę oczywiście tylko o stronie materialnego bytu) ubezpieczenie na wypadek kalectwa czy śmierci. U nas jednak w Polsce ubezpieczenia nie są jeszcze należycie zorganizowane i udostępnione szerokim warstwom, albo też niedostatecznie zapewniające byt wdowie i dzieciom, albo... jeszcze zbyt słabo doceniane.

A jest to sprawa jednak paląca. I ze stanowiska zwykłej troski chrześcijańskiej o los bliźnich i ze stanowiska ogólnie - społecznego. Wdowa, obciążona małymi dziećmi, zmuszona do pracy zarobkowej, nie może sprostać tym wymaganiom, jakie chwila obecna nakłada na wychowawcę. Dzieci muszą być zaniedbane i często głodne, o moralnym kierownictwie lepiej nie mówić. A wynagrodzenie osoby, najczęściej nieprzygotowanej do żadnego określonego zawodu, nie może starczyć potrzebom.

Spotkałam się niejednokrotnie ze zdaniem, że kobieta sama sobie jest winna, jeśli, po śmierci męża, zostaje na „bruku“. Wniknijmy jednak głębiej w tę „winę“. Weźmy najkorzystniejszy przykład: Kobieta ma zawód, pracuje nawet przed ślubem zawodowo. Po wyjściu za mąż, ściślej zaś od chwili, gdy została matką, życie wymaga od niej, by pracę tę rzuciła, zamieniła więc ją na inną — bliższą sercu, ale daleką od fachu dotychczasowego. Przychodzi na świat drugie, trzecie dziecko. Okres przynajmniej 10-cioletni wypełniają jej troski i praca matki, gospodyni domu. Przez ten czas wychodzi ona z trybu swej pracy zawodowej, traci wprawę, jeśli chodzi o rzemiosło, wychodzi ze stosunków, związanych z fachem, nie śledzi postępu w jego dziedzinie i zmian, jak np. w szkolnictwie. Jednym słowem z całego przygotowania do pracy zarobkowej zostaje jakiś nieużyteczny papierek — dyplom. Że nieużyteczny, to się okazuje w momencie właśnie najkrytyczniejszym, gdy mąż umiera, lub zostaje kaleką. Niema z czego żyć... Dyplom nie otwiera drogi do utrzymania domu na dotychczasowej stopie. Następuje powolny lub gwałtowny upadek. Bierze się wówczas pracę, jaka w ręce wpadnie, a życie zaczyna się wlec w nędzy i niezadowoleniu, często w rozpacz, gdy nie można zaspokoić najprymitywniejszych potrzeb rodziny.

Wzięłam przykład najkorzystniejszy: gdy kobieta bądź co bądź ma pewien fach. A gdy go nie posiada? Jeszcze nie nadszedł czas, choć już nadchodzi, by każda kobieta, szczególnie niezamożna, miała pewien zawód. Jest cały zastęp nieprzygotowanych absolutnie do pracy zarobkowej. Cóż one mają czynić, gdy zostają wdowami, obciążonymi dziećmi?

Jest to kwestja, jak powiedziałam, paląca, a przytem z istoty swej wysoce drażliwa, gdyż tak trudno „przygotować się“ do śmierci bliskiej istoty. Sytuacja jednak jest poważna, zagrażająca dzieciom, które mają prawo do tego, by im zabezpieczyć możliwą egzystencję. Nie bądźmy drażliwe tam, gdzie czyha nieszczęście.

Korzystając z istnienia Naszej Mównicy, gdzie tyle już żywotnych spraw poruszono, pragnę zapoczątkować dyskusję na ten temat. Dla jaśniejszego wyrażenia swej myśli, stawiam pytanie: *w jaki spo-*

*sób kobieta - matka ma się przygotować na wypadek, gdy z tych czy innych względów musi wziąć na swe barki, prócz mychomywania i utrzymanie swych dzieci?*

Osobiście odpowiedziałabym: drogą ubezpieczeń od wypadku, choroby, śmierci, wpływania na lepsze zorganizowanie ubezpieczeń społecznych oraz w miarę możliwości kontynuowania pracy zarobkowej, przy jednoczesnym spełnianiu obowiązków domowych.

Chciałabym być dobrze zrozumianą. Wbrew ogólnemu prądowi wśród szerokich warstw kobiet współczesnych, jestem wrogiem pracy zarobkowej matki poza domem. Jeżeli zatem proponuję pracę, to myślę jedynie o takiej, która nie wymaga stałej nieobecności w domu w określonej porze i pozostawiania dzieci i gospodarstwa służbie. Haft, lekcje w domu, pończosznicтво, modniarstwo, przepisywanie na maszynie i t. d. może dać pewien zarobek, a w razie nieszczęścia, może być deską ratunku dla bytu rodziny.

Sądzę, iż sprawa powyższa zainteresuje liczne grono czytelniczek „Bluszczu“ i skłoni je do wypowiedzenia swych rad i obserwacji, które innym mogą przynieść wiele pożytku.

#### **P. Władysław Ferenc — w odpowiedzi p. A. Żyźniewskiej.**

Słowa pani, rzucone na szpalty „Mównicy“ w Nr. 8, okazały się zbyt ważkie, by mogły pozostać bez echa. Coprawda — odpowiedź nie powinna wymagać już odpowiedzi, lecz w tym wypadku trzeba odstąpić od zasady.

Krytykuje pani uchwałę Związku Naucz. Szk. Powsz. o zniesieniu praktyk religijnych, jako uchwałę sprzeczną z zasadami pedagogicznymi.

Nie chcę w tym wypadku czynić domysłów, czy pani sama jest pedagogiczką, bo wystarcza mi przypuszczenie, że pani, zabierając głos o wychowaniu, jest matką przynajmniej.

Nie chcę również brać w obronę wyżej wspomnianego Związku, bo uważam, że powinien sam bronić swych uchwał.

Chcę tylko polemizować z panią o zasadę: „bo praktyki religijne w szkole zanadto doniosłe mają znaczenie wychowawcze, by je z lekkim sercem odrzucić“. Przedewszystkiem brak u pani psychologicznego uzasadnienia wielkości tych praktyk. Operuje Pani tylko porównaniami i argumentami oratorskimi. Słowa są ważkie i trzeba o tem pamiętać — obojęczne.

Pocóż ronić lży, że odbieramy naszym dzieciom „przymusowe“ praktyki religijne? Czyż można wyrządzać krzywdę dzieciom, lub komukolwiek, jeżeli „odbiera się“ narzucone mu rzeczy? Nieprawdopodobne! Zatem o co innego chodzi w artykule.

Rozpatrzę z kolei „uczęszczanie na Mszę Św. i egzortę w niedzielę i święta“. Biorąc rzecz czysto pedagogicznie, nauczyciel czy nauczycielka, winni zaprowadzić dzieci do kościoła, bo są ich wychowawcami.



W takim razie, ucząc dzieci różnych wyznań, winni by robić to samo dla wszystkich dzieci.

Przecież obowiązek wychowawczy jest wobec wszystkich dzieci jednakowy.

Teraz co do spowiedzi i rekolekcji. Jeżeli o obowiązku nauczyciela w tym kierunku można powiedzieć: „Niewiele to“?! Wszyscy pracownicy mają zapewniony Konstytucją świąteczny odpoczynek. Zresztą, powiem i ja: bądźmy szczerzy. Jeżeli wszystkich praktyk religijnych mają dopilnowywać nauczyciele, jeżeli *oni tylko* mają dopilnowywać, by wielkie i święte wydarzenia były odnawiane w pamięci i sercach młodzieży, jeżeli oni wyłącznie mają szerzyć wśród diatwy „kult ducha“, „praktyk religijnych“ — to pocóż istnieją rodzice? Daruje pani, ale nie oddałbyś dziecka swego pod wyłączną opiekę nauczyciela, by ten urabiał w niem ducha wiary. Do tego są rodzice. Do tego są duchowni odpowiednich wyznań. Nauczyciel jest do inaych wartości psychicznych dziecka.

Przez przeniesienie praktyk religijnych ze szkoły do domu rodzicielskiego, nie odbieramy dzieciom naszym „sposobności słuchania słowa Bożego“. Przeciwnie! Przymus zamieniamy na ochocze naśladownictwo. Dzieci, widząc rodziców wybierających się na mszę św., pójdą chętnie z nimi; chyba że rodzice nie idą do kościoła, a do restauracji.

Śmieszna jest porównanie przymusu dorosłych, wykonywania prawnych obowiązków i przymusu dobrych uczynków dzieci. Prawodawstwo nie zmusza do czynienia dobrego, zabrania jedynie czynić zło. Tymczasem pani wyszukała inne paragrafy prawne, które zmuszają do czynienia czegoś narówni z praktykami religijnymi u diatwy. Zresztą — praktyki religijne, wykonywane pod przymusem, nie są „potężnym środkiem wychowawczym“. Przeciwnie.

Przytoczę kilka faktów.

Diatwa zbiera się o godzinę lub więcej przed terminem oznaczonym. Bez opieki bije się, przeżywa, nierzadko przeklina. To są pierwsze egzorty. W kościele, stojąc zwartemi szeregami, zamiast modlić się lub słuchać słowa Bożego, przepycha się.

Spowiedź pod opieką dyżurnego nauczyciela odbywa się w najlepszym porządku. Tylko, że jeden nauczyciel, nie może być w kościele i poza kościołem, przeto lecą szyby kościelne od rzucanych przez dzieci kamieni.

Czyż takie objawy można nazwać czemś wartościowym, czemś niezbędnym?

Zaręczam pani, że są to fakta, aczkolwiek nie wszystkie.

Niechaj więc rodzice, nie nauczyciele, wyrabiają przekonania religijne, u swych dzieci; niech oni będą obowiązani o troszczenie się o dusze dzieci, a nie tylko o ich ciała.

Dla praktyk religijnych jest miejsce w domu rodzicielskim i w świątyniach — nie w szkole. Szkoła ma wychować obywateli świątłych, dzielnych i miłujących ojczyznę.

## P. Ludwika Wojciechowska z Wojciechowa — pow. Ostrołęcki.

Ostrołęka. Dziwne fatum prześladowuje to nadnarwiańskie miasteczko. Żadna zawierucha dziejowa nie przeszła, by w mniejszym lub większym stopniu nie dotknęła go swą niszczycielską dłońią.

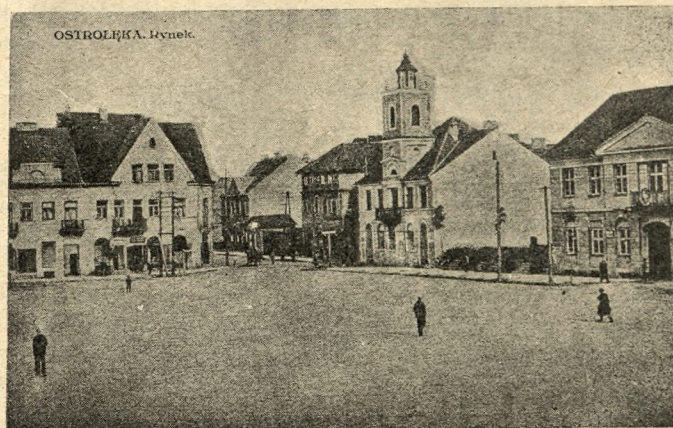
Gdy w maju, 1918 r. wjeżdżałam do Ostrołęki, oczom moim przedstawił się straszny widok: całe miasteczko, z wyjątkiem dwóch, mocno uszkodzonych kościołów, oraz paru, nawpół rozwalonych kamienic, stanowiło jedno, wielkie rumowisko. Zdawało się, iż wojna światowa chciała znieść je z oblicza ziemi, że życie tu nazawsze zagasło. Tliło się ono jednak w lochach, piwnicach, i w sercach stęsknionych wygnańców, którzy choć zdziesiątkowani, wracali niebawem do rodzinnego gniazda.

Słusznym jest twierdzenie, że nieszczęścia ludzi hartują. Sprawdziło się ono w całej pełni na ostrołęczanach, którzy, jakkolwiek chwilowo znękani i bezradni wobec ogromu klęski, wkrótce odzyskali równowagę ducha i ze zdwojoną energją zabrali się do odbudowy miasta. W 1920-ym roku przysła inwazja bolszewicka i — znowu zniszczenie, tułaczka i znowu praca przerwana...

Dziś, po dziesięciu latach, Ostrołęka, prawie już odbudowana, dąży do coraz wyższego rozwoju i kultury, tak zewnętrznej, jak i duchowej.

Przedewszystkiem należy zaznaczyć pracę na polu oświatowym, mamy więc: Szkołę powszechną 7-io klasową, w nowozbudowanym i odpowiednio urządzonej gmachu; gimnazjum męskie państwowe, istniejące od roku 1919-go; gimnazjum żeńskie, Towarzystwo Szkoły Średniej, przy którym istnieje roczny kurs nauczycielski z internatem, oraz wicezorowe kursy dokształcające żeńskie. Mamy, pięknie rozwijającą się Szkołę Rzemieślniczo - Przemysłową (ślusarsko - mechaniczną) dla chłopców, z internatem, zainicjowaną i prowadzoną staraniem Macierzy Szkolnej, Szkołę Kroju i Szycia, też z internatem, która od września r. b. przekształca się na Szkołę Zawodową żeńską, dwuletnią; Rolniczy Uniwersytet Ludowy dla wsi, Wieczorowe Kursy dokształcające dla młodzieży wiejskiej, wreszcie Ochronkę dla chłopców, subsydjowaną przez Sejmik.

W pracy społecznej Ostrołęka również zajmuje niepoślednie miejsce. Tu silnie zaznacza się działal-





ność organizacyj kobiecych. Komitetu Opieki nad matką, dzieckiem i młodzieżą, oddziału Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet i Narodowej Organizacji Kobiet.

Dalej istnieją: Koło Przyjaciół Harcerstwa, Koło Przyjaciół Młodzieży, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Towarzystwo „Lutnia“ z czytelnią, Tow. Wioślarskie i Łowieckie, wreszcie Biblioteka dla młodzieży i dorosłych.

Z wielką również radością można stwierdzić, że handel nie jest tu placówką pogardzaną przez polaków — coraz częściej bowiem widzi się nowe i ładne sklepy, otwierane przez ludzi inteligentnych i prowadzone ze znajomością rzeczy.

Słowem, gdy się spojrzy i oceni tę wielką pracę Ostrołęki, wykonaną w ciągu ostatniego dziesięciolecia z energją, męstwem i polotem twórczym — śmiało można wierzyć w lepsze jutro.

## **P. Pola Pawłowska z Krasnegostawu.**

Krasnostawskie koło dramatyczne wystawiło satyryczną szopkę lokalną. Na prześlicznie udekorowanej scenie grono amatorów w nader miły i pomysłowy sposób wykazywało i krytykowało nawyknięcia i upodobania najwybitniejszych jednostek miasta, a następnie dało bardzo humorystyczną krytykę poszczególnych urzędów.

Szopka wzbudziła w społeczeństwie, żadnym wszelkiego rodzaju rozrywek kulturalnych, wielkie zainteresowanie. Kasa biletowa była obłężona, lecz ze względu na szczupły lokal, a co za tem idzie, ograniczoną ilość biletów, wiele osób odchodziło od kasy.

Fundusz w sumie 250 zł. osiągnięty z przedstawienia został przeznaczony na powodzian i do czasu katastrofy złożony w miejscowym Banku Spółdzielczym.

Organizatorom szopki należy się wielkie uznanie za pomysł, a publiczności podziękowanie za gremjalne przybycie i hojne ofiarowanie datków na cel tak ważny.

Wieczór ten utrwalił się na długo w pamięci mieszkańców Krasnegostawu, dał im bowiem możliwość przepędzenia kilku miłych chwil i oderwania myśli od codziennej szarzyzny.

Zdaniem mojem, każde prowincjonalne miasteczko powinno zorganizować u siebie koło dramatyczne. Powołać miejscowe wpływowe jednostki na założycieli, a młodź chętną i zdolną zaprosić do gry. Tyle jest łatwych i ładnych utworów dla scen amatorskich, a cel zawsze się znajdzie. Jak nie na powodzian, to na bezdomnych i t. p. Korzyści odnosi się wielkie — przede wszystkim: rozrywka kulturalna, miłe spędzenie czasu i choć skromny fundusz dla najbiedniejszych.

Ostatniemi czasy tak często czyta się na szpal-

tach „Bluszczu“ o zorganizowaniu schroniska dla desperatów, targających się na swoje życie. Uważam, że kwestja schroniska wyżej wspomnianego jest sprawą bardzo pilną. Z dobrowolnego oopdotkowania się czytelniczek „Bluszczu“ po 1 zł. miesięcznie nie zbierze się odrazu tak wielki kapitał, którym możnaby opewnić bardzo pilną. Z dobrowolnego opodatkowania się śmierci wyrwa. Na założenie bezwzględnie potrzebny jest pokaźniejszy kapitał. Proponowałabym więc czytelniczkom „Bluszczu“, aby w swoich środowiskach organizowały w miarę sił i możliwości różne imprezy artystyczne, a osiągnięty kapitał przeznaczyły na założenie będącego w mowie schroniska.

Mam tu w szczególności na myśli miasteczka prowincjonalne, gdzie zazwyczaj inteligencja in gremio śpieszy na wszelkiego rodzaju rozrywki i nie skąpi groszy na kupno biletów. Niechby każde koło przesłało plus-minus po 150 zł., a zebrałaby się poważniejsza suma i cel wkrótce zostałby osiągnięty w zupełności.

Więc do czynu wszyscy, którym na sercu leży niedola bliźnich-nieszczęśliwych.

## **Piotrkowianka Z. I. D.**

Z radością przeczytałam wiadomość, że Liga Reformy Postępowania Honorowego zaczyna działać.

Może nareszcie sprawy, tak pilne, jak zniesienie pojedynków i odpowiedzialność honorowa kobiet wejdą w życie.

Ten brak odpowiedzialności honorowej kobiet zwłaszcza ogromnie szkodzi p. wojskowym.

Bo cóż winien jest taki biedak, że jego żona ma za...gi język i lubi plotki?

W wielu wypadkach taki nieszczęśliwiec musi pokutować za niepopelnione winy, często np. zostaje przeniesiony, ma sprawy honorowe i t. p.

Czy nie należałoby przestać uważać kobiet za jakieś niepoczytalne istoty, za które odpowiedzialny jest mąż, ojciec lub syn i oddzielać sprawy żony od spraw męża?

Jeżeli kobieta będzie wiedziała, że za czyny i słowa sama odpowiada, napewno więcej się z niemi będzie liczyła.

Niezawsze jednak kobieta grzeszy.

Co ma zrobić, jeżeli została obrażona a nie ma męża, brata ani wnuka, jak mówi Boziewicz, żeby ujął się za nią?

Czy każdy może ją dlatego obrażać bezkarnie?

Jest sąd, ale ten nie daje rekompensaty, gdyż kary wymierzane są do winy niewspółmierne, no i nie wszystkie sprawy nadają się do sądów.

Należy zatem domagać się zwiększenia kary za obrazę czci, i sądów honorowych, którym podlegałyby także i kobiety.